POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 28-go października 1944r.* **Rok VI. Nr. 43**

GRANICA ZWYCIĘSTWA

Wojna przeciąga się. W chwili gdy wyzwalano Paryż i gdy armie sojusznicze zapędziły się wielkim łukiem w głąb Francji, ożywiły się nadzieje, że wojna się skończy w r. 1944-ym. Działania spadochronowe pod Arnhem, utknięcie pod Antwerpią, obrona Akwizgranu, Metzu, Belfortu, fakt trzymania się odosobnionych gniazd jak Lorient, błota i kanały Holandii — wszystko to wprowadziło pewne zmiany w te obliczenia. Coraz częściej poczęto mówić o przeciągnięciu się wojny przez zimę, o niemieckich planach wiosennych, o przesunięciach i przegrupowaniach. Poczęto wskazywać, że na froncie włoskim dalej jeszcze nie osiągnęliśmy linii Alp, że linia Wisły trzyma się, że bastion Prus Wschodnich nie został jeszcze poważnie nadkruszony, że jeszcze nie oczyszczono z wroga Jugosławii, nie mówiąc o Norwegii. Te wszystkie fakty każą wnioskować, że dokończenie wojny w tym roku jest wątpliwe.

SIŁA PROPAGANDY TOTALNEJ

Przypuszczać wolno, że gdyby udał się w lipcu zamach na Hitlera, całe środkowe wiązanie Trzeciej Rzeszy zawaliłoby się i rozkład wewnętrzny tego państwa nastąpiłby szybko. Tacy czy inni generałowie, mając koło siebie rozmaitych statystów i ciurów politycznych, niedobitki centrum czy socjalistów, próbowaliby może powołać do życia coś w guście rządu czy komitetu i próbować szczęścia "systemem Badoglio". Zamach na Hitlera nie udał się, zawiązki buntu zostały stłumione, Himmler ujął władzę w ręce, terror przeszedł przez Rzeszę, blady strach padł na defetystów. Utrącono rozmaitych junkrów, porażono centra możliwego oporu; po czym przeprowadzono grubo spóźnioną mobilizację totalną, a ostatnio postawiono na nogi t.zw. *Volkssturm*. Doniesienia poważnych obserwatorów z frontu powiadają, że żołnierz niemiecki bije się dobrze i że jest wyraźna poprawa od lipca czy sierpnia, kiedy osłabienie dyscypliny można było obserwować na coraz to rozleglejszych odcinkach. Istnieją wyraźne braki w uzbrojeniu i sprzęcie, żołnierz nie wierzy w zwycięstwo, kpi nieraz otwarcie z obiecanek "tajemniczych broni", jakichś V3 czy V4, powiada cynicznie, że *Luftwaffe* nigdy nie ma tam gdzie jej potrzeba — ale walczy.

Walczy, albowiem własna propaganda wmówiła w niego, że czekają go śmierć i tortury, jeżeli wpadnie w niewolę, że Rzesza zostanie zrównana z ziemią gdy wkroczą wojska sojusznicze. Walczy, albowiem jutro jest niepewne i ponure, albowiem — powiedzmy otwarcie — sojusznicza propaganda nie we wszystkim jest zespolona, nie zawsze wystawia te same hasła i nie zawsze mówi zgodnym głosem, co czeka Niemców. Próby wywołania rozbicia wewnętrznego Rzeszy nie udały się na razie z trzech powodów: 1/ nie doceniono siły propagandy totalnej, która urabia mózg przez lata i chociażby się nawet przestawało jej wierzyć, to jednak jest potrzebna jak narkotyk, jak używka, 2/ nie doceniono przemocy państwa totalnego, które łamie i kruszy opór, poraża wolę oporu, niszczy wszelką inicjatywę, wszelki odruch myśli, 3/ przeceniono centra oporu w Rzeszy, możliwości reakcji; wzorowano się zanadto na wojnie poprzedniej, kiedy to Rzesza cesarska była państwem "normalnym", wyposażonym w parlament, opinię publiczną, pisma niezależne, partie polityczne.

KRAJ FANATYKÓW

Żołnierz niemiecki bije się, Rzesza Hitlera okazuje się bardziej odporna na ciosy i wstrząsy aniżeli Rzesza Kaisera. Było to wcale oczywiste dla tych, którzy znali Niemcy nie od dzisiaj. Wiedzieli oni, że Rzesza hitlerowska będzie się biła dłużej aniżeli cesarska, albowiem nie tylko przeprowadziła potężniejszą mobilizację sił i zasobów, ale zrabowała olbrzymie dobra w całej niemal Europie, wycięła wszystko to, co mogłoby stanąć na drodze, zamieniła naród w obóz wojenny i ma swoich janczarów — setki tysięcy janczarów. Wojna obecna jest wojną religijną, jeżeli chodzi o pewne państwa totalne. Rzesza Hitlera stoi pod znakiem pewnej religii politycznej, która ma swoich fanatyków, janczarów, wyznawców. Dla nich nie ma drogi odwrotu, nie ma ucieczki do kraju neutralnego czy nawet do jakiejś Ameryki Płd. Państwa neutralne nie dadzą im schronienia, szlaki odwrotu, nie ma ucieczki do kraju partia, muszą walczyć, albowiem czują wzbierającą głuchą niechęć własnych mas, albowiem wiedzą, że załamanie się oporu wywoła krwawą łaźnię. Porachunki osobiste w Rzeszy będą straszniejsze aniżeli słabe odruchy w faszystowskich Włoszech; S.S. nie podda się łatwo, partia nie skapituluje. Sam Hitler chce, ażeby Rzesza zginęła w jakimś całopaleniu, w jakiejś morderczej Bitwie Nibelungów. Jego opętany mózg snuje wizję Nerona; marzą mu się apokaliptyczne obrazy; groził przecież, że jeżeli Rzesza się zawali, to "pociągnie za sobą całą Europę w płomienie". Wprawdzie w ostatniej proklamacji swojej nie mówi o zwycięstwie, ale już tylko o walce dopóki "nie zostanie uzyskany pokój, którYby zabezpieczył przyszłość Rzeszy" — ale wydaje się, że skoro pokój taki jest niemożliwy, pozostaje tylko walka na wyniszczenie, walka, w której Rzeszę czeka spustoszenie i ruina.

NIEUDOLNOŚĆ POLITYKI NIEMIECKIEJ

Słowa o uzyskaniu pokoju pojawiają się po raz pierwszy w proklamacji Hitlera, co nie znaczy bynajmniej, ażeby polityka niemiecka myślała o tym dopiero teraz, doszedłszy do wniosku, że zwycięstwo jest niemożliwe. Jest oczywiste, że polityka niemiecka od dawna już spekulowała na pokój kompromisowy; opierała się ona na obliczeniach, że musi dojść do rozłamów i nieporozumień pomiędzy Sojusznikami. Omyliła się w tym całkowicie a sprawiedliwość każe przyznać, że nie po raz pierwszy. W istocie cała wojna obecna jest pokazem niemieckiej siły a w znacznej mierze także pokazem niemieckich przewag wojennych i całkowitej nieudolności polityki niemieckiej. O ile w zeszłej wojnie była ona nadmiernie zręczna i często oskarżano ją — całkowicie słusznie — o nieumiejętność oceny sytuacji, o brutalne maniery, o krótkowzroczność, to w tej wojnie polityka niemiecka jest na najniższym poziomie barbarzyństwa, ciemnoty, chamstwa.

Ocena sytuacji przez Niemców była od początku fatalna. Niemcy wiedzieli, że mocarstwa zachodnie są nieprzygotowane, że Francja jest osłabiona wewnętrznie, że uderzenie na zachodzie przyniesie szybkie sukcesy; przypuszczali jednak najpierw, że zachód wogóle się nie ruszy, potem, że Anglia skapituluje. Jeszcze w r. 1941-ym, w przededniu ataku na Rosję, Rzesza próbuje kuszenia Anglii, posyłając Rudolfa Hessa; jest bezczelnie pewna, że Anglia da się namówić na jakiś kompromisowy pokój, że pozostawi Niemcom wolną rękę na wschodzie lub ogłosi neutralność wobec niemieckiej napaści na Związek Sowiecki. Wszystkie te rachuby okazują się kolejno mylne; analiza siły Rosji przez Niemców jest fatalna, wniosek co do gromadzenia się potęgi brytyjskiej równie zły. Rzesza lekceważy zbieranie się sił angielskich. Polityka niemiecka w czasie zaboru Rosji jest haniebna. Trudno o bardziej ciemną, chamską, tępą politykę, pozbawioną wszelkich cech wielkoduszności, rozsądku, dalekowzroczności.

Rzesza była bankrutem politycznym zanim została bankrutem militarnym. Było rzeczą jasną, że wojny tej nie wygra — albowiem nie miała żadnej polityki. Gdy kierownicy Trzeciej Rzeszy pojęli, że wojnę militarnie przegrali, zaczęli wywieszać hasła solidarności Europy, w które już nikt nie wierzył, albowiem Rzesza była doszczętnie skompromitowana, jej barbarzyństwo powszechnie wiadome, jej brutalność metod uświadomiona wszystkim narodom. Gdy nie chwyciła ta melodia, Rzesza postanowiła wyzyskać różnice między Sojusznikami. Z uporem właściwym tej rasie wmówiła w siebie, że jednak rozdźwięki muszą przyjść i że na nich Rzesza zdoła zarobić pokój kompromisowy. I te obliczenia okazały się mylne. Dzisiaj pozostaje już tylko walka o "nagie życie".

KONIECZNOŚĆ NAJWYŻSZEGO WYSIŁKU

Dla obserwatorów patrzących głębiej w rzeczy było wcale oczywiste na wstępie tej wojny, że potrwa ona dłużej, aniżeli pierwsza wojna światowa. Wynikało to z prostego obliczenia: Rzesza r. 1939-ego była silniejsza aniżeli Rzesza r. 1914-ego. Każda siła jest rzeczą względną, albowiem zależna jest od stosunku do innej siły, czy do zespołu sił wokoło się znajdujących. W r. 1914-ym Francja była przygotowana do rozprawy wojennej, Anglia była w lepszym pogotowiu aniżeli w r. 1939-tym. Zadanie zatem Rzeszy w r. 1939-ym na obszarze Europy było o wiele łatwiejsze, pomimo braku zasobów Austro-Węgier, które grały na korzyść Niemiec w pierwszej wojnie światowej. Jeżeli w wojnie światowej nr. 1 trzeba było czterech lat do złamania potęgi niemieckiej, jeżeli trudziły się nad tym Francja, W. Brytania, Rosja, Stany Zjd. — to było jasne na wstępie r. 1939-ego, że te same mocarstwa będą musiały wydobyć ze siebie wszelkie siły, ażeby zmódz potęgę Trzeciej Rzeszy.

Dlatego po klęsce Francji poważni obserwatorzy przyjmowali, że wojna w Europie jest w pewnym sensie przegrana, że trzeba zorganizować przeciwko Rzeszy wojnę na skalę kontynentów, albowiem tylko w takiej wojnie Niemcy załamią się, albowiem tylko w takiej wojnie wyjdą na jaw braki tego mocarstwa. Wojnę taką mogły podjąć tylko trzy prawdziwie światowe mocarstwa: W. Brytania, Rosja, Stany Zjed. Tym samym jednak oznaczało to, że waga i walor państw kontynentalnych, ich rola zarówno militarna jak i polityczna, niejako spada w tym olbrzymim wyścigu kontynentów i światowych mocarstw.

Należy przypomnieć, że odważni przewódcy swoich narodów oswajali je z tą prawdą. Churchill już w r. 1940-ym napomykał o tym, że wojna przeciągnąć się może do roku 1945-ego. Podobne zdanie wypowiadał premier Kanady, Mackenzie King. Obliczenia ich były trafne.

POTRZEBA PRZYMIERZA TRZECH MOCARSTW

Było rzeczą wcale jasną, że W. Brytania nie wygra sama tej wojny i że musi mieć nie tylko pomoc ale pełny udział zbrojny USA. Byli optymiści, którzy głosili jeszcze w połowie roku 1941-ego, że lepiej ażeby USA nie wchodziły do wojny, albowiem — będą mogły oddawać więcej sprzętu i broni W. Brytanii. Była to teza całkowicie mylna; jasne było, że Stany Zj. muszą wejść do wojny i to w pełni, oczywiste było, że muszą one wycisnąć swoich 5 czy 6 milionów żołnierza i rozkręcić w pełni swoją iście potworną maszynę produkcji. Pokaz niemiecki na ziemi rosyjskiej udowodnił, że wojna przeciwko Rzeszy była nie do wygrania bez Rosji; skruszenie potęgi niemieckiej dokonać się mogło tylko na olbrzymich przestrzeniach, w gigantycznych pochodach i odwrotach. Pogotowie niemieckie — a Rzesza nie zbroiła się przecież dla dokonania ataku na Polskę czy inne państwo Europy, ale celem uderzenia na Rosję — ujawniło się dopiero w całej swej grozie na obszarach tego kraju.

Można też było powiedzieć śmiało jeszcze w r. 1941-ym, że inwazja kontynentu nie przyjdzie prędko, albowiem alianci zachodni nie będą gotowi przed upływem dwóch czy trzech lat. Nie mogli oni uderzyć na zachodzie bez uzyskania odpowiedniej przewagi lotniczej, bez opanowania morza, bez zabezpieczenia podstawowego, żywotnego szlaku na Morzu Śródziemnym. Obserwacja metod wojennych mocarstw zachodnich mówiła jasno, że dążą one do zredukowania strat, do wojny oszczędnej, jeżeli chodzi o życie ludzkie. Wszystko to wskazywało jeszcze w r. 1941-ym na wolne tempo wojny i na r. 1944 jako na rok decydujący.

NARASTANIE NOWYCH ZAGADNIEŃ

Ta trzeźwa ocena była krytykowana przez optymistów, którzy brali swoje dane, cyfry i nastroje z własnego widzimisię. Optymistyczne oceny polityczne poniosły podobną porażkę, albowiem nie brały one pod uwagę tego, że cała perspektywa tej wojny przeszła zmianę przez fakt, iż pierwszy odcinek wojny — wojna w Europie — został przegrany, że trzeba było montować wojnę na większą skalę. Nie zrozumiano, a raczej uporczywie nie chciano rozumieć faktu, że przeciąganie się wojny zmienia wiele założeń tej wojny, że wiele haseł głoszonych na wstępie deaktualizuje się niejako, że narastają nowe zagadnienia, że podkopywane jest zdrowie, siły, odporność narodów podbitych, że kraje Europy wyjdą z wojny straszliwie osłabione, że ład społeczny trzeszczy i że powstają nowe układy społeczne. Nie chciano rozumieć, że przez to, iż wojna trwa długo, za długo niejako na ludzką wrażliwość i wytrzymałość — wiele rzeczy wypacza się, wiele podstaw kruszeje, tworzy się wiele nowych sytuacyj; że rosną nowi ludzie, że tworzą się nowe poglądy. To wszystko niesie ze sobą przeciągająca się wojna.

KRYZYS W EUROPIE

Jeżeli po poprzedniej wojnie mieliśmy do czynienia z wybuchami na Węgrzech, w Niemczech, a ruchawkami w Bułgarii — to wszystko wskazuje na to, że po tej wojnie ruchy takie przyjąć mogą charakter daleko szerszy i powszechniejszy. Nie jest to oczywiście ani pewnikiem ani koniecznością — albowiem przeciwko takiej możliwości przemawia ogrom zmęczenia narodów Europy, ich niewiara w religie polityczne, ich niechęć do szumnych obietnic. Przykład Włoch zdawałby się świadczyć, że społeczeństwo zmęczone, wydrenowane rządami totalnymi, popada w apatię, bezruch, traci rozmach i energię. Przykład Włoch nie jest jednak powszechny, albowiem stopień zmęczenia może być różny, temperamenty i nienawiści w rozmaitych krajach grają odmiennie.

Ta właśnie perspektywa społeczna sprawia, że już na wstępie tej wojny ostrożniejsi obserwatorzy wypowiadali swoje obawy, co się stanie, gdy zdjęta zostanie pokrywa wojny z Europy, gdy zaczną grać siły społeczne i gdy ujawniony zostanie rozmiar skłócenia społeczeństw, pognębienia prawa, rozprzężenia wielu więzi wczorajszych. Dla tych ostrożnych było rzeczą jasną, że mamy do czynienia z olbrzymim kryzysem kultury europejskiej, że trzeszczą zręby Europy i że świat, jaki wyjdzie z odmętu wojny będzie inny, zupełnie inny.

CEL WOJNY — TRWAŁY POKÓJ

To wszystko sprawia, że wojna obecna przedłuża się. Nawet jeżeli padnie rozkaz "zaprzestać ognia", pokój nie ogarnie całego frontu. Liczyć się należy z oporem odosobnionych grup w Niemczech, oporem rozmaitych fanatyków jak obrońcy Brestu czy Lorient; przypuszczać należy, że jeżeli Hitler nie zostanie sprzątnięty /nowy zamach na niego nie jest wykluczony/, to nie dopuści on do powołania do życia żadnego konkurencyjnego rządu czy nawet komitetu — a zatem nie będzie z kim rokować. W tym stanie rzeczy możliwe są liczne niespodzianki, jak rozpadanie się Rzeszy na prowincje — rozpadanie się własnowolne, a nie narzucane. Możliwe są wybuchy rewolt przeciwko rządom hitlerowskim, krwawe rzezie, wobec których noc św. Bartłomieja była dziecinną zabawką.

Zdobycie pokoju po tej wojnie będzie o wiele trudniejsze i cięższe, aniżeli po poprzedniej. Ułagodzenie rozhuśtanych fal będzie rzeczą długiego czasu. Budowanie pokoju zajmie lata.

Pamiętajmy o tym, że celem wojny nie jest uzyskanie najbardziej nawet imponującego zwycięstwa militarnego: zwycięstwo takie jest tylko wstępem do pokoju. Wyzyskanie zwycięstwa wojskowego w sposób mądry i dalekosiężny jest celem wojny. Budowanie trwałego pokoju, czy możliwie najtrwalszego pokoju — oto cel wojny.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Przegląd tygodniowy

AKWIZGRAN, BELGRAD, WARSZAWA

Bitwa, tocząca się na zachodzie z rosnącym wciąż nasileniem, przyniosła w ciągu ubiegłego tygodnia wzięcie Akwizgranu przez Amerykanów, po dwunastu dniach ciężkich walk ulicznych. Operacje na południowym wschodzie uwieńczone były wzięciem Belgradu przez Rosjan i Jugosłowian, po siedmiu dniach walk wewnątrz miasta. Bez względu na znaczenie strategiczne obu tych miast, stanowią one jakby kamienie milowe na drodze do zwycięstwa.

W wojnach XVIII i XIX wieku rzadkie bywały wypadki obrony i zdobywania dużych miast. Przy ówczesnych środkach walki obrona ich wymagała użycia i związania sił własnych nieproporcjonalnie znacznych w stosunku do spodziewanych korzyści. Długość obwodu, trudność w poruszaniu i przesuwaniu odwodów przemawiały przeciw wykorzystywaniu miast jako ośrodków obronnych. Poza tym wojna nie była jeszcze totalna. Oszczędzano dorobek kulturalny zawarty w miastach. Oszczędzano ludność cywilną. Bitwa toczona na zewnątrz miasta, decydowała zatem o jego losie.

Wyjątek stanowiły fortece, obejmujące miasta swym pierścieniem. W tych wypadkach ewakuacja ludności należała do normalnych przygotowań obronnych.

Paryż w r. 1870-1 był fortecą i wytrzymał długie oblężenie; ale walka rozgrywała się na zewnętrznym pierścieniu fortyfikacyj. Kapitulował wygłodzony i utraciwszy szansę odsieczy, ale szturmem nie był zdobywany, do walk ulicznych z Niemcami nie doszło. Walki uliczne przyniosła tam dopiero wojna domowa, wybuchła jako produkt uboczny klęski — Komuna. W późniejszym okresie bywały jeszcze wielkie miasta fortecami lub obozami warownymi, w miarę jednak rozwoju artylerii, jej zasięgu i siły kruszącej pocisków rezygnowano stopniowo z takiej ich roli. Powysadzane przez Rosjan przed ostatnią wojną forty warszawskie stanowią ślady tego ewolucyjnego procesu "rozbrajania" wielkich miast, o ile były obronne. W poprzedniej wojnie światowej nie było też obrony ani oblężeń wielkich miast, ani dążenia do włączania ich w linię frontu.

To też przełomowym wydarzeniem była obrona Warszawy i Lwowa we wrześniu 1939 roku — obrona dwóch miast otwartych, to jest nie ufortyfikowanych uprzednio, długa i skuteczna mimo potęgi niszczącej lotnictwa bombardującego i artylerii ciężkiej. Świat przyjął to jako przejaw rozpaczliwego męstwa. Nie doceniono natomiast znaczenia operacyjnego tych wydarzeń. Dowiodły one, że otwarte miasto, jeśli jest bronione, stanowi poważną zaporę w wojnie "błyskawicznej", że dywizje pancerne zatrzymują się wobec niej dość bezradne lub długo i mozolnie torują sobie przejście, zazwyczaj już nie o siłach własnych.

W kampanii francuskiej 1940 nie wyciągnięto stąd wniosków. Ogłaszano przez radio po kolei szereg miast i miasteczek jako "otwarte", to jest nie bronione, zapraszając niejako przeciwnika do zajmowania tych węzłów komunikacyjnych i przepraw rzecznych, na których leżą miasta.

Dzisiaj Niemcy, pisząc o powstaniu Warszawy i jej heroicznej obronie, uwydatniają na tym przykładzie wielkie trudności zdobywania dużych miast. Przykład Warszawy ma być Niemcom zachętą do obrony miast aż do zupełnej ich zagłady i do ostatniego człowieka.

Ale Akwizgranu bronili przez dni dwanaście. Belgradu przez siedem. A przecież w Akwizgranie nie brakło ani sprzętu, ani amunicji, ani żywności, ani środków sanitarnych; odcięty był naprawdę dopiero przez ostatnich parę dni.

Warszawa nie miała tych środków obrony, co Niemcy w Akwizgranie czy Belgradzie. Ale zdobywali ją przez sześćdziesiąt trzy dni.

Tej różnicy żadne okoliczności materialne nie tłumaczą. Tłumaczy ją jedno tylko: potęga ducha Warszawy.

Do tej potęgi ducha Niemcom daleko.

"VOLKSSTURM"

Gdy Prusy Wschodnie w r. 1813 wystąpiły po stronie zwycięskiej Rosji przeciw Napoleonowi, proklamowano tam pospolite ruszenie, "*Landsturm*". Do tradycji tej nawiązali dziś Himmler i Goebbels; wobec zagrożenia terytorium Niemiec — Amerykanie w Nadrenii, Rosjanie w Prusach Wschodnich — wodzowie Trzeciej Rzeszy ogłosili pospolite ruszenie, przemianowując je na "*Volkssturm*".

Za czasów napoleońskich pospolite ruszenie oznaczało powołanie do szeregów wszystkich mężczyzn zdolnych do broni, względnie oddanie ich do dyspozycji wojska. Było to czymś rewolucyjnym, bo wojska były wtedy małe, w stosunku do ilości ludności wysiłek wojenny był wielokrotnie mniejszy niż we współczesnych wojnach, daleko było do pojęcia "narodu pod bronią".

Ale dzisiaj naród niemiecki jest od lat pięciu pod bronią. Przeszedł normalną, celową, starannie przygotowaną i uzupełnianą mobilizację od początku wojny. Przeszedł t.zw. "totalną mobilizację" po Stalingradzie, "hypertotalną" po klęsce w Normandii. Gdzie ten pozostały lud, który ma teraz ruszać na rozkaz Himmlera? To też w mowach i odezwach władze "*Herrenvolku*" mówią o chłopcach i starcach, obiecują nawet powołanie kobiet i dzieci. Słowem wszystkiego, co według pojęć przyjętych niezdolne do broni. Nad szkoleniem tych sił "*Volkssturmu*" i ich zaprawą wojenną nie zdaje się zastanawiać wódz tych "wewnętrznych sił zbrojnych" a zarazem naczelny kat Niemiec i Europy. W jego pojęciu wystarczy Gestapo, które pogna je do walki.

Nie nam, Polakom, lekceważyć improwizowane, powstańcze armie, nam dumnym z naszej Armii Krajowej. Ale wiemy, że jedno tylko może być cementem, zastępującym żołnierską zaprawę, natchnieniem, zastępującym wyszkolenie: jest to siła moralna, płynąca z wiary w świętość swojej sprawy i w jej ostateczne zwycięstwo. Nie sądzimy, by jedno i drugie mogło być udziałem nowych zastępów Himmlera. Dlatego też niebardzo wierzymy w niemieckie "armie podziemne" po opanowaniu Niemiec. Nawet gdyby je mieli tworzyć kaci z Gestapo, z SS i inni zagrożeni stryczkami. Zbój i oprawca to nie materiał na bohatera.

WOJNA NA DALEKIM WSCHODZIE

Wojna na Dalekim Wschodzie wchodzi w trzecią fazę. Zapowiedzią była w poprzednim tygodniu wielka bitwa morsko-powietrzna na wodach Formozy, a pierwszym aktem dokonane w ubiegłym tygodniu masowe lądowanie armii MacArthura na Filipinach.

Pierwszą fazę tej wojny cechowała druzgocząca ofensywa japońska. Pearl Harbour i zmasowanie floty amerykańskiej na czas dłuższy. Zdobycie Hong-Kongu, ostatniej brytyjskiej pozycji w Chinach. Ofensywa na Malaje i wzięcie Singapore, głównej bazy brytyjskiej na drodze z Indyj Wschodnich na wody chińskie i Ocean Spokojny. Podbój Indyj Holenderskich, połączony z ciężkimi ciosami dla flot holenderskiej i brytyjskiej. Podbój całej prawie Nowej Gwinei, bezpośrednie zagrożenie Australii. Opanowanie wysp Andamanów i Nikobarów z zagrożeniem połączeń morskich między Australią a Indiami Wschodnimi. Owładnięcie Filipin oraz mniejszych wysp południowego Oceanu Spokojnego celem odcięcia połączeń między Australią i Ameryką. Ofensywa w Burmie, przecięcie drogi burmańskiej, jedynej arterii, którą pomoc Sprzymierzonych szła do Chin, faktyczna izolacja Chin, bezpośrednie zagrożenie Indyj Wschodnich. Przez zajęcie niektórych wysp Aleuckich zagrożenie połączeniom między Ameryką a Rosją. Imponujące te wyniki przyniósł pierwszy rok wojny.

O ile ze strony japońskiej było dążenie do błyskawicznych rozstrzygnięć w duchu strategii "powalenia", Sprzymierzeni, zbyt słabi zrazu by kusić się o zwycięstwo i osłabieni jeszcze przez poniesione ciężkie straty, musieli wybrać "strategię zużycia". Osiągnięta wkrótce wyższość ich lotnictwa, mistrzostwo w operacjach kombinowanych wodno-powietrznych lub wodno-powietrzno-lądowych pozwoliły ograniczonymi siłami obronić Australię, odzyskać główne pozycje na Nowej Gwinei, zadać szereg ciężkich ciosów flocie japońskiej na Pacyfiku, zdobyć szereg wysp i z tych baz zdobytych zagrozić komunikacjom Japończyków z ich własnym krajem. Wyrzucono również Japończyków z wysp Aleuckich.

Na lądzie azjatyckim, gdzie siłami brytyjskimi dowodzi lord Louis Mountbatten, kontrofensywa brytyjska 14-tej armii w Burmie zachodniej, w terenie niesłychanie trudnym i bez odpowiedniego wsparcia z powietrza i z morza, nie dała wyniku. Ofensywa chińsko-amerykańska gen. Stilwella, wchodząca od północy chińskiej prowincji Junnan do Burmy miała tylko powodzenia lokalne. Siły brytyjskie, lądujące z powietrza na tyłach japońskich w Burmie północnej, przeprowadziły działania stanowiące epopeję bohaterską, ale rozstrzygnięcia nie przyniosły. Tymczasem armia japońska z Burmy wdarła się głęboko do pogranicznej indyjskiej prowincji Assam, zagrażając poważnie Indiom Wschodnim i przerywając słabe połączenia między armią brytyjską a armią Stilwella. W sytuacji bardzo krytycznej brytyjska 14-ta armia, nazywająca się sama "zapomnianą armią", bo mało słyszy się i czyta o jej niewypowiedzianie ciężkich i trudnych walkach, stopniowo wydarła inicjatywę Japończykom, wypierając ich krok za krokiem, lotnictwem niszcząc ich komunikacje i bazy, dezorganizując zaopatrzenie, a wreszcie niszcząc cofającego się przeciwnika, który ofensywę na Indie okupił stratą stu tysięcy ludzi.

Teraz uderzenie floty admirała Nimitza na Formozę i straszliwa klęska, zadana tu flocie japońskiej, następnie zaś potężny atak Amerykanów na Filipiny, opanowanie wyspy Leyte, położonej centralnie w tym archipelagu, stwarza przy przewadze morskiej i powietrznej Sprzymierzonych sytuację groźną dla sił japońskich, uwięzionych na wyspach Malajskich i półwyspie Malajskim.

Jednoczesny atak brytyjski na wyspy Nikobary w zatoce Bengalskiej może być pierwszym zwiastunem odwetu na Japończykach za Singapore. Potężna flota wojenna brytyjska wyruszyła właśnie z Atlantyku na Ocean Spokojny.

Mogą to być przejawy przejścia Sprzymierzonych w wojnie z Japonią do "strategii powalenia". Zadania stojące przed nimi są olbrzymie. Dowiedli, że w rozwiązywaniu tych zadań nie zabraknie im ani środków, ani energii, zręczności i odwagi.

ROZMOWY MOSKIEWSKIE

Skończyły się rozmowy w Moskwie. Skąpe są wiadomości co do ich przebiegu i wyników. Z komentarzy prasy brytyjskiej wynika wyraźnie, że punkt ciężkości tych rozmów przesunął się ze spraw Bliskiego Wschodu na trudniejszą o wiele sprawę polską, że w grze było przywrócenie legalnego stanu rzeczy na ziemiach polskich, ciągłość naszego bytu państwowego i suwerenność Rzeczypospolitej oraz jej granice na wschodzie i zachodzie. Z radiowego komentarza brytyjskiego wynika, że mieliśmy pełne poparcie brytyjskich mężów stanu w sprawie naszego bytu niepodległego, nie mieliśmy zaś całkowitego poparcia w sprawie naszej granicy wschodniej, a punkt widzenia brytyjski bliższy był w tej sprawie rosyjskiego. Rokowania przeciągnęły się, musiały być trudne, nie dały ostatecznych wyników. Ze strony lubelskiego Komitetu i jego ekspozytury moskiewskiej zaczęła się nowa kampania przeciw premierowi. Spotyka się ona w prasie anglosaskiej z właściwą na ogół oceną.

Zdaniem niektórych organów prasy brytyjskiej rozwiązanie sprawy stosunków polsko-sowieckich musi nastąpić zanim zapadną decyzje co do organizacji powojennego świata. Przewiduje się nowe spotkanie premiera Churchilla z marsz. Stalinem i prezydentem Stanów Zjednoczonych już po amerykańskich wyborach.

Kilka najbliższych tygodni może zatem przesądzić o sprawach, od których zależy przyszłość Polski i Europy.

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

16 października: Akwizgran został zupełnie otoczony przez Sprzymierzonych.

—W nocy z 15/16 lotnictwo brytyjskie silnie bombardowało Wilhelmshafen.

—W Tokio ogłoszono, że na Pacyfiku toczyła się wielka bitwa morska koło Formozy.

—Premier Mikołajczyk odbył rozmowy z premierem Churchillem oraz z p. Bierutem z Komitetu lubelskiego.

17 października: W nocy z 16/17 lotnictwo płd. afrykańskie, działając z baz Morza Śródziemnego, zrzuciło zaopatrzenie dla Armii Krajowej w Polsce.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało b. silnie Kolonię. W działaniach brało udział 2.200 samolotów.

—Premier Mikołajczyk prowadził rozmowy w Moskwie z min. Edenem.

18 października: Wojska sowieckie opanowały m.in. następujące przełęcze w Karpatach: Łupkowską, Użocką, Tatarską.

—W Holandii Brytyjczycy zajęli Vernaij.

—Polscy piloci myśliwscy zestrzelili nad płn. Danią sześć samolotów niemieckich, Me-109, bez strat własnych.

—Rząd R.P. ogłosił szczegóły otrzymane z Kraju, dotyczące nowych zbrodni i okrucieństw niemieckich, popełnianych na ludności Warszawy i deportowanych w Oświęcimiu.

—Premier Mikołajczyk odbył rozmowy z premierem Churchillem i marsz. Stalinem.

—W Niemczech utworzone zostały oddziały obrony narodowej "Volkssturm".

19 października: Rozpoczęła się bitwa o Prusy Wschodnie. Wojska sowieckie zajęły Ejdkuny w Prusach.

—Lotnictwo amerykańskie silnie bombardowało Mainz i Ludwigshafen-Mannheim.

—W Tokio ogłoszono, że wojska amerykańskie lądowały na jednej z wysp Filipińskich.

—Zakończenie narad w Moskwie.

20 października: Ogłoszono, że Akwizgran został zdobyty.

—W Moskwie podano, że Belgrad oraz Debreczyn zostały zajęte.

—Komunikat Sztabu N.W. podał, że Dywizja Pancerna w dalszym ciągu znajduje się w ciężkich walkach w rejonie na płn. od Baarle-Nassau.

—Ósma Armia na odcinku adriatyckim zajęła m. Cesena.

—W Waszyngtonie ogłoszono o lądowaniu wojsk w wielkiej sile na Filipinach, pod dowództwem gen. MacArthura.

—Laval został zaocznie skazany na śmierć przez trybunał w Marsylii.

21 października: Wojska kanadyjskie zdobyły m. Breskens, u ujścia Skaldy.

—II. Korpus we Włoszech po przerwie wszedł znowu do akcji. Oddziały polskie odparły ataki na m. Galatea i zajęły Monte Altaccio, Monte Spino i San Sofia.

—Odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów absolwentom wojennego kursu Wyższej Szkoły Wojennej.

22 października: W Prusach Wschodnich walki toczą się o Tylżę.

—Premier Mikołajczyk powrócił z Moskwy do Londynu.

—Przywrócona została nazwa "R.A.F.-Fighter Command" zamiast dotychczasowego dowództwa Obrony Powietrznej W. Brytanii /A.D.G.B./.

—Oddziały polskie we Włoszech zajęły Civitella Romagna na południe od Forli, oraz Monte Grosso.

Nowości lotnicze

Na skutek inwazji Aliantów na zachód Europy, Niemcy straciły wiele stacji meteorologicznych. Każdy wie, jak ważną rolę w wojnie nowoczesnej odgrywa dobrze zorganizowana służba meteorologiczna. Nie tylko dla lotnictwa, lecz dla wszystkich części sił zbrojnych, choćby n.p. dla artylerii lub też . . . sztabów. Gdy ktoś prowadzi działania wojenne na lądzie, morzu i w powietrzu — musi mieć, jeżeli chce uniknąć przykrych niespodzianek, dobre komunikaty meteorologiczne. Jednak dobre komunikaty meteorologiczne, to synteza wielu meldunków, z wielu rozmaitych miejsc, z wielu stron.

Na początku wojny mieli Niemcy pewne trudności z ustalaniem pogody w zachodniej części kontynentu europejskiego. Na to potrzeba było koniecznie meldunków atlantyckich. Niże i wyże nad Atlantykiem regulują pogodę nad Anglią, Francją, Niemcami, jednym słowem nad krajami centralnej i zachodniej Europy, wpływając jeszcze na formowanie się pogody daleko na wschodzie kontynentu. Lecz niebawem, okupacja Francji załatwiła kłopoty. Niemieckie łodzie podwodne i niemieckie samoloty dostarczały potrzebnych meldunków. Sztaby armii dysponowały odpowiednimi prognozami, na których opierały niezawodnie swe kalkulacje.

Dziś znów zmieniła się sytuacja. Utrata Włoch pozbawiła Niemcy meldunków śródziemnomorskich, utrata Belgii i Francji meldunków znad Atlantyku. Już tylko nieliczne łodzie podwodne kręcą się po północnym Atlantyku. Solidne prognozy, oparte na stałych, codziennych meldunkach stały się dla niemieckich sztabów niedostępne. Braki te muszą się odbić na planowaniu. Przecież nawet do użycia "*Wunderwaffen*", przeróżnych "V", doskonała znajomość choćby tylko kierunku wiatrów na rozmaitych wysokościach jest nieodzowna. Wobec tego *Luftwaffe* musi działać na ślepo. Nie jest to najmniejszy z kłopotów Hitlera.

Lotnictwo alianckie poświęciło ostatnio wiele uwagi i bomb instalacjom wodnym na terenie Niemiec i Holandii. Najbardziej dotkliwy dla struktury niemieckiej sieci komunikacyjnej był atak na odcinek kanału Dortmund-Ems, znany jako "*Glane Umleitung*". Kanał, którego łożyskiem przechodziło bądź co bądź przeszło 50% tonażu transportowanego wodami śródlądowymi, był w punkcie wybranym na atak, szczególnie wrażliwy na uszkodzenia. Właśnie tam łożyska kanału rozdzielają się w dwa ramiona, oba biegnące nad poziomem otaczającego okręgu. Zdjęcia lotnicze wykazują, że górna odnoga została zupełnie pozbawiona wody na przestrzeni około 350 metrów, a dolna na 420 metrach. Taki był skutek umiejętnego i celnego bombardowania odpowiednimi bombami. Nie zauważono dotychczas na tych odcinkach żadnych robót naprawczych. Przypuszczać należy, że naprawa jest dla Niemców rzeczywiście nie byle jakim problemem, zarówno ze względów technicznych, jak i ze względu na stałe wizyty RAF'u w tych okolicach.

Znaczenie kanału polegało na tym, że był jednym z najważniejszych połączeń w systemie niemieckich dróg wodnych. Zniszczenie go oznacza odcięcie okręgu Ruhry, zarówno od Morza Północnego, jak i od wschodniego systemu dróg wodnych. W tej chwili węgiel i produkty ciężkiego przemysłu mogą być wysyłane w kierunku Berlina, lub do śródlądowych portów Saksonii czy Śląska — jedynie drogą kolejową. Z drugiej zaś strony artykuły żywnościowe dla zagłębia Ruhry, muszą być wysyłane koleją lub samochodami. Przerzucenie tego olbrzymiego tonażu przeróżnych transportów z kanałów na drogi żelazne i samochodowe jest nie do pomyślenia.

Dotychczasowym dążeniem Niemców było raczej przerzucenie transportów z dróg suchych na drogi wodne. Drogi żelazne są przeładowane, poza tym są stale bombardowane i niepewne, gdy tymczasem szlaki samochodowe, choć ich nikt nie starł jeszcze z powierzchni Rzeszy, wymagają przecież pojazdów napędzanych benzyną. A benzyny, zarówno naturalnej jak i sztucznej, Niemcom brak, wobec zniszczeń, których ostatnio doznały ośrodki produkcji, szczególnie syntetycznego paliwa. W cyfrach oznacza to zmniejszenie się produkcji o 2-3 milionów ton miesięcznie. W wyniku tych wypadków należy oczekiwać braku dostaw surowców do wschodnich ośrodków produkcji Niemiec, szczególnie stali i węgla, gdy równocześnie niebawem powinny zarysować się jeszcze większe niż dotychczas trudności wyżywienia w zachodniej połaci Rzeszy. Zniszczenie "*Glane Umleitung*" będzie miało takie same skutki, jak zniszczenie tam na Mohne i Eder. Daje to nam możność oceny, w jak szybkim czasie i jak dalekie postępy robi ofensywa lotnicza Aliantów, skierowana przeciw żywotnym ośrodkom Rzeszy.

Dziesiątki tysięcy ton ciężkich bomb spada na miasta niemieckie z samolotów, zbudowanych już *po* rozpętaniu wojny przez Hitlera. Niemieckie bomby zniszczyły wiele miast polskich, holenderskich, belgijskich i francuskich. Lecz padały one z samolotów, które zbudowano na długo przed rozpoczęciem wojny, z myślą o niszczeniu. Niemcy planowali wojnę. Od pierwszej chwili wybuchu niemieckiej wojny, przyszła na Aliantów kolej planowania: lecz pokoju.

Szale wojny ważą się nie tylko na frontach, zależą one także od planowania przyszłości powojennej. Dlatego to już dziś Alianci, pewni swego zwycięstwa, rozważają w jaki sposób przeprowadzić świat przez ów niebezpieczny wąwóz między wojną a pokojem.

W ostatnich miesiącach w Wielkiej Brytanii toczyły się ożywione dyskusje na tematy powojennej komunikacji lotniczej. Dyskusje, rozpoczęte w parlamencie, odbiły się szerokim echem w prasie i w całym życiu publicznym. Przyszedł bowiem czas, wykorzystania doświadczeń wojennych przy organizowaniu pokoju lotniczego, by zamiast przekuwać miecz na lemiesz, zamieniono komorę bombową na kabinę pasażerską. Sprawy wojenne lotnicze i sprawy cywilne lotnictwa Wielkiej Brytanii są zbyt rozległe, by je zamknąć w jednym tylko ministerstwie. Brytyjczycy musieli szukać rozwiązania w stworzeniu dwóch ministerstw: lotnictwa cywilnego i wojskowego.

Ministrem lotnictwa cywilnego Wielkiej Brytanii został Lord Swindon. Jego osoba gwarantuje najściślejszą współpracę trzech ośrodków kierowniczych rządu brytyjskiego: *Air Ministry, Ministry of Civil Aviation*, oraz *Ministry of Air Production.*

Przyszłość wszystkich państw powojennego świata jest zależna od rozwoju komunikacji lotniczej i ich w tej komunikacji udziału. Ta komunikacja stworzyła przecież nową erę w dziejach świata, zmieniając całkowicie jego dyspozycję polityczną, przez przesunięcie ognisk dyspozycyjnych polityki międzynarodowej z portów morskich na bazy lotnicze, a więc z morza na ląd. Z drugiej strony narzuciła światu konieczność znacznie bliższego niż dotychczas współżycia międzynarodowego i to nie tylko na polu polityczno-ekonomicznym, lecz i kulturalnym.

W listopadzie r.b. rozpoczyna się w Ameryce wielki kongres międzynarodowy lotnictwa cywilnego. Na tym kongresie zapadną niewątpliwie doniosłe uchwały, podobnie jak zapadły na ostatnim kongresie międzynarodowym lotnictwa cywilnego, który odbył się przed wojną w Londynie. Kongres ów, przez uchwały, zdążające n.p. do umiędzynarodowienia cen paliwa lotniczego, podłożył fundamenty pod organizację życia międzynarodowego, już powojennego. Na przyszłym kongresie niewątpliwie zarysują się układy linij komunikacyjnych na kuli ziemskiej, zarysują się też podziały odcinków kontynentalnych między poszczególne narody. To da nam możliwość wypróbowania opinii wszechświatowej w odniesieniu do możliwości polskich.

M. J. GORDON

Przed wyborami w Stanach Zjednoczonych

Stany Zjednoczone wybierają 7-ego listopada swego prezydenta. Jest to sprawa czysto amerykańska, według zasad nacjonalizmu i suwerenności, ale stanowisko jakie Stany Zjednoczone w świecie zajmują, ich potęga gospodarcza, militarna i — coraz wyraźniej się rysująca umysłowa sprawiają, że ciężar polityki amerykańskiej może zaważyć na losach nas wszystkich. Od polityki Stanów Zjednoczonych zależeć będzie nie tylko sprawa *Tennessee Valley Authority*, sprawy celne lub podatkowe, ani nawet i to, czy Mr. Somebody zostanie zamianowany sędzią, poborcą podatkowym lub listonoszem w stanie Idaho lub Oklahoma, ale także czy Mr. Brown z Londynu będzie musiał planować swój przyszły domek jako schron gazoszczelny, czy Monsieur Durant będzie mógł liczyć na stare lata na swą ciężko w młodości zapracowaną rentę, czy Hans Schmidt będzie mógł nadal marzyć o bohaterze niemieckiego *Herrenvolku*, czy rolnik chiński, rosyjski, rumuński zbierze ryż i zboże albo kukurydzę zanim przejedzie po jego polu ciężki, ogniem ziejący czołg, czy wreszcie — najbliższy naszemu sercu — Wojciech Nowak, Stanisław Nowacki lub Jan Nowakowski będą mogli w Krzesławicach, w Warszawie lub w Wilnie żyć, pracować i kochać w spokoju.

Nie ma już na świecie suwerenności ani nacjonalizmów, w starym słów tych znaczeniu. I dlatego, choć szanujemy życzenie narodu amerykańskiego nie mieszania się w ich sprawy wewnętrzne*, nie możemy powiedzieć, abyśmy w tych wyborach — które są ich sprawą, ale które zaważą i na naszym życiu — nie byli zainteresowani.

* * *

Przede wszystkim parę faktów. Szybko zmieniająca się rzeczywistość sprawia, że poczęliśmy niestety lekceważyć w polityce fakty. Faktów jest zbyt wiele, zbyt są złożone i zbyt często — pozornie lub rzeczywiście — ze sobą się kłócą. Łatwiej żonglować w rozmowie towarzyskiej czy debacie politycznej imponderabiliami.

"Stalin podobno oczarował w Teheranie Roosevelta". "Dewey jest w duszy izolacjonistą". "Od konferencji pokojowej zależeć będzie jutro świata a wynik konferencji w olbrzymiej mierze zależeć będzie od tego, czy w imieniu Ameryki przemawiać będzie Dewey czy Roosevelt". Takie twierdzenia słyszymy często, gdy rozmowa schodzi na wybory amerykańskie. Na takich twierdzeniach można zbudować bardzo misterną argumentację "za" lub "przeciw". Ale takie twierdzenia są niewymierne.

Pierwszym faktem, o którym musimy pamiętać jest to, że partie amerykańskie w niczym nie przypominają partyj politycznych polskich ani nawet angielskich. Nie ma ani ideologicznej ani klasowej linii podziału pomiędzy partią demokratyczną a partią republikańską. Pierwotnie taka linia podziału istniała. Twórca partii demokratycznej Jefferson, indywidualista, skupił za sobą obszarnicze Stany Południowe. Hamilton, ojciec republikanów, był zwolennikiem silnego, centralnego rządu, co bardziej odpowiadało przemysłowcom i kupcom Stanów Północnych. Ta ideologiczna linia podziału istniała aż do wojny domowej. Rolnicze Stany Południowe były za wolnym handlem i niewolnictwem. Przemysłowa północ za ochroną celną i przeciw niewolnictwu, które groziło konkurencją darmowej robocizny. Ale z czasem ta linia podziału się zatarła a nowe ideologie i koncepcje polityczne poczęły grać wewnątrz obu partii.

Jeden ciekawy i ważny fakt pozostał. Tradycyjne przywiązanie Stanów Południowych do Partii Demokratycznej. Stany Południowe mają w kolegium wyborczym razem 124 głosy. Stany te głosują zawsze na kandydata demokratycznego. Tylko raz w historii wyłamały się z tradycyji, gdy w 1928 roku Północna Karolina, Teksas i Floryda głosowały za republikaninem, Herbertem Hooverem. Podobnie niektóre Północne Stany jak Maine i Vermont /9 głosów w kolegium wyborczym/, są tradycyjnie republikańskie. Ogólna ilość głosów w kolegium wyborczym wynosi 531. Dzięki tym 124 "pewnym" głosom w Stanach Południowych stanowisko demokratów jest dość mocne. Dzisiaj obie partie mają właściwie tę samą ideologię, a raczej ten sam brak ideologii.

"Some politicians are Republican,
some Democratic
And their feud is dramatic.
But except for the name
They are identically the same".
/Ogden Nash/

/Niektórzy politycy są
republikanami, inni demokratami
a spór ich jest dramatyczny.
Ale oprócz nazwy wszyscy są
zupełnie tacy sami./

Oprócz tych dwu wyjątków /11 Stanów Południowych i 2 Stany Północne/, cała reszta Ameryki głosuje nie na partie ale na człowieka, którego partie wysuwają jako kandydata na prezydenta. To, że demokraci byli twórcami *New Dealu* /Nowy Ład Roosevelta/ było wynikiem wyboru Roosevelta na kandydata partii demokratycznej w 1932 roku i jego wyboru na prezydenta. Można sobie łatwo wyobrazić, że gdyby człowiek typu Wendell Willkie'go został wówczas prezydentem jako kandydat republikański to *New Deal* przeszedłby może to historii jako zasługa "tych radykalnych republikanów", a demokraci poszliby drogą opozycji i schlebialiby Wall Street i izolacjonistom. Nic w składzie osobowym i w postawie ideologicznej obu partyj nie wyklucza takiej możliwości.

* * *

Skoro więc osoba prezydenta odgrywa tak wielką rolę, przyjrzyjmy się przysługującym mu uprawnieniom.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że wbrew szeroko rozpowszechnionemu mniemaniu, prezydent Stanów Zjednoczonych nie ma nieograniczonej władzy. W teorii jego władza jest bardzo ograniczona, a w praktyce bywa ostro i zazdrośnie — choć nie zawsze z powodzeniem — ograniczana.

Konstytucja amerykańska z 1787 roku dzieli władzę pomiędzy trzy instytucje: Kongres /składający się z Izby Posłów i z Senatu/, Prezydenta i Sąd Najwyższy. Kongres ma władzę ustawodawczą — i w teorii tylko ustawodawczą /członek Kongresu nie może zajmować stanowiska w rządzie/. Prezydent ma władzę wykonawczą i nie może, teoretycznie, proponować zmian ustawodawczych. Sąd Najwyższy kontroluje zarówno Kongres jak i prezydenta, w szczególności jeśli chodzi o zgodność ich działalności z konstytucją.

Prezydent jest zależny od Kongresu jeśli chce przeprowadzić jakąś ustawę, zamianować ministra, ambasadora lub sędziego. Członkowie Kongresu dobrze o tym pamiętają /zwłaszcza członkowie bardziej wpływowego Senatu/ i wykorzystują tę zależność prezydenta dla wzmożenia swej władzy i znaczenia. Utarło się n.p., że wzamian za swobodę w doborze ministrów czy ambasadorów, Prezydent korzysta z sugestyj senatorów przy obsadzaniu posad rządowych w poszczególnych Stanach. Sprytniejsi senatorowie stwarzają sobie w ten sposób poważny krąg wpływów, przekraczający ich właściwą ustawodawczą funkcję. Ale ten miecz bywa obosieczny. Wykorzystuje go także prezydent, jeśli chce przeprowadzić jakąś ustawę. Roosevelt okazał się mistrzem w tej grze.

Większość ustaw *New Dealu* — ustaw tak zasadniczych i tak rewolucyjnych, że niektóre z nich zostały uznane potem przez Sąd Najwyższy za niezgodne z konstytucją — była opracowana przez Roosevelta i jego rząd /administrację, jak to nazywają Amerykanie/ ale wnoszona i uchwalana, przez powolny Rooseveltowi, Senat. Aby tę sprawę dobrze zrozumieć należy sobie uzmysłowić, że przed wojną było w Stanach Zjednoczonych około miliona urzędników państwowych, z czego około 300.000 — i to nieraz najpoważniejszych — stanowisk nie stałych /nieetatowych jakbyśmy to w polskiej gwarze urzędniczej nazwali/. 300.000 posad do rozdania to dość rozległe pole dla gry politycznej.

Te gry i gierki sprawiają, że władza prezydenta zależna jest w pewnym stopniu od jego indywidualności. Bywali prezydenci słabi, nieinteresujący i nieaktywni i bywały "dynamomaszyny" typu Franklina Delano Roosevelta.

W grze między prezydentem a Kongresem przeszkadza jednak Sąd Najwyższy. Znany jest konflikt Roosevelta z Sądem Najwyższym o *New Deal*. Ale i tutaj prezydent ma możność wywierania presji. Nie mówiąc o tym, że w razie rezygnacji lub śmierci któregoś z sędziów — a jest ich dziewięciu — sędziego mianuje prezydent.

Z tego układu stosunków wypływa pewna nauka. Mimo pozorów olbrzymiej władzy, prezydent nie jest wszechwładny. Aby dobrze i sprawnie rządzić, musi żyć w zgodzie zarówno z Kongresem jak i z Sądem Najwyższym. Ta nauka, przetłumaczona na język aktualności oznacza, że jeśli Roosevelt zostanie znowu wybrany, to nie będzie miał łatwego życia. Wprawdzie po 12 latach jego prezydentury 7-miu z 9-ciu sędziów pochodzi z jego nominacji, ale za to Kongres będzie chyba jeszcze bardziej oporny i knąbrny niż był dotychczas. Zwłaszcza, że jak wiemy, anty-rooseveltowska linia podziału biegnie przez obie partie. A Dewey? Demokraci w opozycji będą zwartą masą, a republikanie — mimo jednomyślności z jaką wybrali Deweya na swego kandydata — nie bardzo są swym wyborem zachwyceni. Tak więc następny prezydent, ktokolwiek nim będzie, nie będzie prezydentem silnym.

* * *

Kto zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych? W wyścigu wyborczym obaj kandydaci zbliżają się do mety 7-ego listopada w równej linii. Szanse są wciąż nierozstrzygnięte, a każda prognoza jest albo *"wishful thinking"* /pobożnym życzeniem/ albo *"Lindoe tells you"* /przepowiednią z gwiazd/.

Za Rooseveltem przemawia przede wszystkim fakt, że jest on dzisiaj jednym z najpierwszych pośród wielkich mężów stanu. Przeciwnicy Deweya rozgłaszają następujący slogan w Ameryce. "Czy chcesz, aby na konferencji pokojowej Anglię reprezentował Churchill, Rosję Stalin a Stany Zjednoczone Dewey?"

Roosevelt został zaprzysiężony jako prezydent 4 marca 1933 roku /w miesiąc po objęciu władzy przez Hitlera/, w szczytowym okresie kryzysu. I wówczas ten człowiek, o którym Walter Lippmann pisał przed wyborami, że "jest to sympatyczny pan, który ma ambicję zostania prezydentem, ale nie ma kwalifikacji na to stanowisko" zaskoczył wszystkich rozmachem, energią, inteligencją i wizją z jaką podszedł do sprawy uzdrowienia stosunków gospodarczych Stanów Zjednoczonych. Dokonania jego są historią i, cokolwiek mówią o nich jego przeciwnicy wyborczy, nikt nie myśli o zlikwidowaniu *New Dealu*. Roosevelt jest wielkim człowiekiem i wielkim mężem stanu, ale jest także przebiegłym i bardzo mądrym politykiem. Jakżeby dał sobie radę inaczej z Kongresem czy Sądem Najwyższym przez długich 12 lat urzędowania.

Mimo tych jego cnót, Amerykanie boją się czwartego czterolecia prezydentury jednego człowieka. Murzyni, którzy przy ostatnich wyborach głosowali na Roosevelta, tym razem będą, zdaje się, znowu głosowali za kandydatem republikańskim, jak to tradycyjnie czynili od czasów Lincolna. Wielki przemysł nienawidzi Roosevelta, a drobni przedsiębiorcy boją się interwencjonizmu, którego Roosevelt jest symbolem. Związki zawodowe pójdą za Rooseveltem, ale rodziny żołnierzy walczących na frontach od Pacyfiku aż po granicę niemiecką, owczym pędem garną się do izolacjonizmu.

Z drugiej strony barykady jest Tomasz Dewey, o którym dziennikarz amerykański Henry Pringle pisze: "Thomas E. Dewey, gubernator politycznie bardzo ważnego stanu New York, jest młody, przystojny, mądry i ambitny. Ma tak wiele zalet, że powiedziano o nim: "Nie można nie lubić Toma Dewey'a, dopóki się go dobrze nie zna".

Jest bardzo młody. Ma lat 42. Jako prokurator stanu New York wsławił się swą energią i bezwzględnością w zwalczaniu gangsteryzmu. W polityce ma niezapisaną kartę. W partii uchodzi za radykała, choć fakt, że podobno Herbert Hoover bardzo usilnie go popiera, osłabia wiarę w szczerość tego radykalizmu.

Na korzyść Deweya grają błędy Roosevelta. Przeciw, jego niedoświadczenie, a nade wszystko to, że na miarę czasów, w których żyjemy byłby zbyt "małym" prezydentem.

Jaki wpływ będzie miał wynik wyborów na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych? Poglądy Roosevelta są znane, ale kto wie czy Kongres nie będzie mu bruździł. Dewey znowu może łatwo pójść drogą izolacjonistów swej partii. Czy obu stać będzie na śmiałą politykę zagraniczną — wątpię. A jeśli chodzi o sprawy Polski, to wydaje mi się, że obaj będą bardzo pro . . . amerykańscy.

H. S. DOMINIK

* Numer niniejszy nie dojdzie do Ameryki przed datą wyborów więc opinie wyrażone w niniejszym artykule nie mogą wpłynąć na żadnego amerykańskiego wyborcę.

Przemiany amerykańskie

Kampania wyborcza w Stanach Zjednoczonych dobiega końca.

Po raz drugi, tak jak w roku 1919, sprawy polityki zagranicznej wysuwają się na czoło wszystkich zagadnień. Tym razem nie jest to jednak, jak za czasów Wilsona dylemat: współpraca Stanów Zjednoczonych w wykorzystywaniu skutków zwysięstwa czy też izolacja, lecz spór co do sposobów rozbudowy tej współpracy i zasad na jakich ma się ona opierać. Obie partie, tak demokraci broniący po raz trzeci zajmowanych pozycji jak i republikanie sięgający po utraconą przed laty 12 władzę, mają programy polityki zagranicznej bardzo do siebie w zasadniczych liniach podobne.

Już na samym początku debaty wyborczej fakt narodzin nowych zasad amerykańskiej polityki zagranicznej, zasad czynnego udziału Stanów w sprawach międzynarodowych począł występować coraz wyraźniej. Programy obu stronnictw, czyli t.zw. "platformy" sformułowane w czerwcu przy rozpoczęciu kampanii wyborczej na konwencjach w Chicago, postawiły wyraźnie hasło czynnej współpracy Ameryki przy tworzeniu i utrzymaniu powojennej organizacji bezpieczeństwa światowego. Hasło to, wysunięte przez oba stronnictwa i to w brzmieniu podobnym, jest wypowiedzią obowiązującą i może być uważane za podstawę przyszłych postanowień Stanów Zjednoczonych w sprawach polityki międzynarodowej. I republikanie i demokraci wypowiadają się w swych programach wyborczych za czynnym udziałem Stanów Zjednoczonych w organizacji bezpieczeństwa zbiorowego i jego utrwalania, przez udzielenie nowemu porządkowi rzeczy poparcia "ramieniem zbrojnym".

W myśl przesłanek stronnictwa republikańskiego, organizacja bezpieczeństwa: "miałaby do dyspozycji odpowiednie środki aby w razie potrzeby użyć siły zbrojnej państw miłujących pokój do zapobieżenia lub uśmiercenia napaści".

Program demokratów mówi o "organizacji obowiązującej państwa do niej należące do utrzymania sił zbrojnych celem użycia ich przeciwko możliwemu napastnikowi".

Kiedy w roku 1938 ostoja izolacjonizmu, senator Borah z Idaho, zapytany został przez jednego z dziennikarzy dlaczego nigdy się nie wybierze by zobaczyć na oczy tak zwalczaną przez siebie Ligę Narodów, senator odpowiedział:

—Obawiam się, że gdybym pojechał tam, to spotkawszy w Genewie zbyt wielu ciekawych ludzi, mógłbym zmienić swój punkt widzenia. Pochodzę z Idaho i interesy mego Stanu są dla mnie decydujące.

Tak było jeszcze w roku 1938. Od tego czasu Stany Zjednoczone przeszły ogromne przeobrażenie poglądów, które sprawia, iż izolacjonizm nie tylko taki, jak senatora Borah, ale izolacjonizm w ogóle stał się przeżytkiem, skazanym na nieuchronną, choć spóźnioną zagładę.

Dwa są głównie powody tego przeobrażenia. Oba zresztą wywołane są procesami u podstaw których leży wojna. Procesy te to przede wszystkim uświadomienie Ameryce kruchości geograficznych podstaw jej bezpieczeństwa i rozbudzenie w niej poczucia własnej siły i możliwości rozrostu.

Klęska sprzymierzonych na Kontynencie Europejskim w roku 1940 i widoki opanowania przez państwa osi Wysp Brytyjskich, Islandii i Afryki Północnej, przywiodły do świadomości Nowego Świata fakt współzależności losów tego, co Lippmann nazywa "wspólnotą atlantycką". Od tej chwili ogromna większość społeczeństwa Stanów poczęła coraz szybciej i lepiej zdawać sobie sprawę z istotnie światowego charakteru tej wojny i z faktu, iż wobec jednostajnie przyśpieszonego postępu technicznego naszej cywilizacji, izolacjonizm jest czymś sprzecznym z kierunkiem tego postępu. Możliwości coraz szybszego poruszania się i porozumiewania na coraz większych przestrzeniach oraz atakowania przeciwnika na coraz dalsze odległości zniosły z jednej strony znaczenie obronne przestrzeni, a z drugiej podkreślają współzależność interesów i konieczność współdziałania.

Z drugiej strony wojna obecna, będąca dla Stanów Zjednoczonych bardziej podnietą, bodźcem, a nie jak dla Wielkiej Brytanii groźnym kryzysem, dała społeczeństwu amerykańskiemu wzmożone poczucie własnej siły i możliwości na przyszłość. Sprawność w uruchomieniu zasobów ludzkich i przemysłowych, osiągnięcia produkcyjne, posiadanie najpotężniejszej floty i marynarki handlowej, stworzenie największego w świecie lotnictwa, powodzenia młodej armii w Afryce, Europie i na Pacyfiku — oto potężne dźwignie dumy amerykańskiej. Toteż z kół, które stanowiły dotychczas jedną z podpór izolacjonizmu wyszły idee "misji Ameryki" w świecie, idee "stulecia Ameryki" w swoich założeniach będące pojęciami dynamicznymi, ekspansywnymi.

Jednym z licznych wyrazów zainteresowania się społeczeństwa Stanów światem zewnętrznym, a zarazem i ożywionego ruchu umysłowego, jaki kraj ten obecnie przeżywa, jest olbrzymia ilość książek dotyczących spraw polityki i gospodarki międzynarodowej. Ta "wielka dyskusja" — *"The Great Debate"* obejmuje niemal całe myślące społeczeństwo. Jest rzeczą znamienną, że w roku 1943 trzy t.zw. *"best sellery"* /książki, które osiągnęły największy nakład/: książka Agara — *"A Time for Greatness"*, Willkiego: *"One World"* oraz Lippmanna: *"U.S. Foreign Policy"* były książkami stanowczo opowiadającymi się za współpracą, a przeciwko izolacjonizmowi.

Starając się znaleźć syntezę przemian opinii publicznej swego kraju, posłanka Clare Booth Luce, przemawiając w kwietniu r.b. w Kongresie oświadczyła:

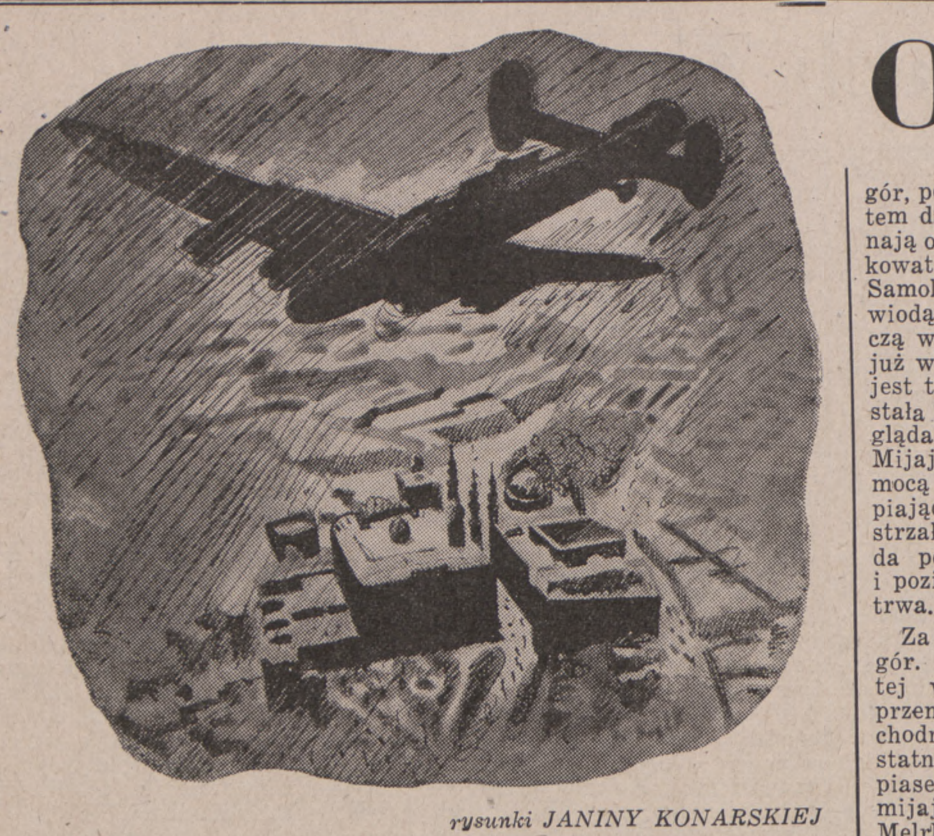
—"Amerykańska opinia publiczna odrzuca ideę odosobnienia */isolation/*, jak i mieszania się w cudze sprawy */intervention/*, a wypowiada się zdecydowanie za współpracą w dziele budowy i utrwalania nowego porządku światowego */participation/*".

Ponieważ zaś, tak w prasie jak i w publicystyce, coraz częściej pojawiają się poważne i udokumentowane głosy, żądające utrzymania sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych na takim poziomie, aby były one zdolne do wywiązania się ze swych zobowiązań zarówno traktatowych jak i moralnych, można mieć nadzieję, iż idea współpracy nie pozostanie czczym frazesem bez oparcia w sile materialnej. Zasada wysunięta przez Waltera Lippmanna w jego książce o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych — iż należy posiadać środki materialne dla wywiązania się ze zobowiązań traktatowych — przenika coraz głębiej do świadomości społeczeństwa amerykańskiego.

M. K. DZIEWANOWSKI

OCEAN—PUSTYNIA—DŻUNGLA

Cz. II.: Pustynia Północnej Afryki*



rysunki JANINY KONARSKIEJ

POCZĄTEK PUSTYNNEGO SZLAKU

Pierwsze promienie wschodzącego słońca musnęły właśnie swym żółtym blaskiem białe mury Rabat'u, gdy Julek kładł swój samolot w łagodny, szeroko zakreślony wiraż, by wyprowadzić go na kurs 084 stopnie, ku Ras-el-Ma. Odpłynęło w dal białe miasto, otoczone zielenią ogrodów. Jeszcze przez kilka minut "Liberator" leci nad zielonymi pastwiskami, otaczającymi Rabat. Potem zieleń kończy się nagle i przechodzi w rudawy kolor piaszczystych wzgórz, okalających Rabat od strony wschodniej i południowej. Ten rudy, tak charakterystyczny dla Afryki Północnej kolor, będzie już nam towarzyszył na przestrzeni prawie 3000 mil, przez całe długie 12 godzin lotu.

Na północy i na północnym wschodzie, rysują się ostro, w blaskach wschodzącego słońca doskonale widoczne szczyty Wysokiego Atlasu. Ponieważ według mapy, na naszej trasie nie ma gór wyższych ponad 7600 stóp, plan lotu przewiduje wysokość lotu na 8000 stóp. Ani Julek, ani George nie kochają się specjalnie w tlenowych maskach i starają się unikać lotu na wysokości, wymagającej ich używania.

Pagórkowaty obszar pomiędzy Rabat'em i Ras-el-Ma jest zamieszkały, poprzecinany drogami i torami i nawigacja nie przedstawia żadnych trudności. Zgodnie z obliczonym czasem, ukazują się przed samolotem białe mury Fez'u i na południe od nich ciemnieją wstęgi *runway'ów* lotniska Ras-el-Ma. George bierze mikro:

—"Julek, kurs na Boutoub 097°".

—"Steruję 097 stopni".

"ROSNĄCE" GÓRY

Za Fezem krajobraz się zmienia. Już nie widać otoczonych zielenią plam oaz i osiedli. Gęsta sieć czarnych, asfaltowanych dróg zbiega się i łączy i przechodzi w jedną, jedyną arterię, idącą w kierunku na północny-wschód. Teren zaczyna się podnosić i przechodzi w skaliste, dzikie, opuszczone przez Boga góry. Ostre, szare szczyty zbliżają się ku samolotowi. Przechodzą niepokojąco blisko pod nim, zdają się zagradzać mu drogę.

—"Julek, wejdź na 9000 stóp, te mapy były robione zimą, gdy góry pokurczyły się od zimna. Teraz z powodu gorąca, ciała się rozszerzają i góry rosną. Patrz, ten szczyt pod nami ma według mapy zaledwie 6800 stóp, a my będąc na wysokości 8000 stóp jesteśmy nie wyżej niż 300 stóp nad nim".

—"Słuchaj, to i odległość się może powiększyła pod wpływem gorąca — sprawdź, żeby nam nie zabrakło paliwa. Nie chciałbym tu lądować".

Na myśl o lądowaniu w tych dzikich górach Wysokiego Atlasu robi się jeszcze zimniej, w i tak już zimnej kabinie. Niedostępne, skaliste góry są do dziś dnia siedzibą niepodbitych, wolnych plemion arabskich. Doliny należą do Francji; jak daleko sięgnąć mogą ekspedycje Legii Cudzoziemskiej, tak dalece kraj jest opanowany i podległy. Ale podział na okręgi i obwody administracyjne jest tylko tam aktualny, gdzie może dojść żołnierz Legii, a kula wymusić posłuszeństwo. Podatek płacą tylko te osady, które wiedzą, że jeśli na czas podatku nie opłacą, to osada ich zostanie odwiedzona przez oddział legionistów. Pamięć takiej wizyty żyje w okolicy nieraz bardzo długo i jest zachętą do regularnego płacenia podatków i podporządkowania się francuskiej administracji. Tak rzecz wygląda w dolinach, ale w górach podział na okręgi jest tylko fikcją, istniejącą na mapach i papierach. Żaden biały nie wrócił z tych gór, gdzie życie zatrzymało się na XII-ym wieku i gdzie do dziś istnieje i niewolnictwo i średniowieczny fanatyzm i feudalna władza naczelników plemion. Góry są wolne i niepodbite. Więc nic dziwnego, że mapy były sporządzane bardzo niedokładnie i że wysokość gór była oceniana "na oko" przez patrzących z dolin mierników, których praca była często przerywana świstem arabskiej kuli.

ROZMÓWKA PRZEZ "MICRO" O GÓRACH I MAPIE

Od południa narasta wysoki łańcuch gór i zagradza drogę lecącemu na 9000 stóp "Liberatorowi".

—"Julek, wejdź na 10.000 stóp, te górki są ponad 9000 stóp".

—"Słuchaj, może się nareszcie zdecydujesz na jakiej wysokości mamy lecieć?" — żołądkuje się Julek. Ustawiwszy raz odpowiednio ciśnienie *boost'a*, wyregulowawszy obroty i włączywszy automatycznego pilota, Julek nie jest zbyt chętny, by całą swą pracę zaczynać od początku. Ale góry są nieustępliwe, więc Julek musi im ustąpić. Jeszcze tylko dla zachowania pozorów: — "Jaka jest wysokość tych gór według mapy?" — zapytuje.

—"To są północne szczyty łańcucha Guelb-er-Rahat, wysokość według mapy 7600 stóp, sam widzisz, że mają dobrze ponad 9000 stóp. Co się dziwisz, pies z kulawą nogą tu nigdy nie zajrzał, a wysokości podawano na oko".

—"Ty się zastanów, jak tam będzie dalej, bo ja wyżej niż na 22.000 stóp grata nie wyciągnę. Jak tam jest dalej na mapie?"

—"Dalej, wszystko się będzie zgadzać z mapą!"

—"Skąd wiesz?"

—"Musi się wszystko zgadzać, bo na mapie jest tylko biała plama i napis: *unsurveyed desert*, więc cokolwiek napotkamy, zawsze się będzie zgadzać z mapą" — ton George'a jest pełen ironii, ale Julek bierze rzecz na wesoło:

—"Przynajmniej jakiś uczciwy facet był; napisał: *unsurveyed desert* i spokój".

—"Tobie spokój, Ty i tak w teren patrzeć nie musisz" — zazdrości pilotowi George.

—"To i ty nie patrz, dalej niż do Nilu i tak nie zalecimy, a Nil chyba będzie widać?"

—"Do Nilu jest jeszcze "tylko" 2000 mil, jeszcze go chwilowo nie widać".

NAD JEZIORAMI BEZ WODY I PIASZCZYSTĄ PUSTKĄ

Płyną godziny. Jeden łańcuch gór, potem drugi, potem trzeci, potem dziesiąty. Potem góry zaczynają opadać i przechodzą w pagórkowatą, piaszczystą, rudą pustynię. Samolot przekracza tor kolejowy wiodący ku Biskrze. Potem błyszczą w słońcu wody jezior. Wody już właściwie w jeziorach nie ma, jest tylko pokład soli, która pozostała na dnie, ale z powietrza wygląda to jak lśniąca tafla wodna. Mijają godziny. Jednostajnie łomocą motory, jednostajnie, usypiająco grają śmigła. Oscylują strzałki czujnych przyrządów, opada poziom paliwa w zbiornikach i poziom kawy w termosach. Lot trwa.

Za Biskrą już nie ma żadnych gór. Schodzą na 7000 stóp i na tej wysokości samotny samolot przemierza bezkresne pustynie Zachodniego Erg'u. Biskra jest ostatnim śladem życia. Teraz tylko piasek, piasek i piasek. Kolejno mijają wielkie depresje: Chott Melrhir i Chott Djerio. Lśnią w słońcu tafle nie istniejącej już, zamienionej w sól, wody licznych w tych depresjach jezior. Temperatura stale wzrasta i dosięga już plus 20 stopni. Słońce przetoczyło się na południową połać nieba i jego żarkie promienie nagrzewają metal samolotu tak silnie, że w kabinie robi się gorąco.

George zrzuca kolejno cały swój lotniczy ekwipunek, a gdy i to nie pomaga, zrzuca *battle-dress* i przebiera się w *shorty*. Dwadzieścia godzin temu był na Nowej Fundlandii i otulony w futra patrzył jak przed wielki sklep amerykańskiej "PX" zajeżdżają saneczki zaprzężone w sfory północnych psów: *hussky*. Teraz otacza go pustynia Wielkiego Erg'u. Przelatuje nad terenem, który jest zamieszkały równie gęsto, jak i kraj Wilkes'a przy południowym biegunie, to jest: na tysiące mil kwadratowych wypada zero mieszkańców.

WSPOMNIENIE Z LIBII

Samolot leci nad pustyniami, które mają różne nazwy i należą do różnych państw. Pustynie są kolorowe na mapie — ale tu, w terenie są jednakowo rudo-czerwone i nikt nie wytyczał nigdy ich granic. George mimo woli przypomina sobie starszego, miłego i bardzo kulturalnego inżyniera, Włocha, który mu w czasie poprzedniej bytności w Libii pokazywał farmy włoskich osadników wokół Castel Benito. George przymknął oczy i zobaczył tak żywo, jakby na jawie, te odebrane, wydarte, wywalczone od pustyni obszary. Wokół wykopanych nakładem dużych kosztów i pracy studni artezyjskich, rozciągały się zielone pola i piękne, starannie pielęgnowane sady. Od każdej artezyjskiej studni szły promieniście kanały, rozprowadzające wodę po otaczających studnie polach. Jedna studnia wystarczała na ileś tam hektarów ziemi. W środku każdego ogrodu stał piękny, kamienny, grubościenny /dla ochrony przed upałem/ dom kolonisty. — "Koszt studni jest tak wysoki, że dopiero po dziesięciu — dwunastu latach, zwróci się włożony w taką farmę kapitał" — przypominają się George'owi słowa włoskiego inżyniera. George ponownie przymyka oczy i widzi jak wokół jednej z takich farm, wesołe, opalone na bronz, szczęśliwe i roześmiane włoskie *bambina* przerzucają się złocistymi kulami pomarańcz, a z okna farmy patrzy na swe pociechy tęga, postawna brunetka, typowy okaz neapolitańskiej urody. — "Za dziesiątą część tej sumy, którą Włochy i Francja wydały na swe armie w czasie od 1910 do 1930 roku" — słyszy George głos inżyniera — "można by było nawodnić 40% obszaru Sahary i dać możność spokojnego życia co najmniej 20 milionom ludzi. Niech mi nikt nie mówi, że ziemia jest przeludniona".

George otwiera oczy. Tam, w dole rozpościera się straszliwa, piaszczysta, idąca w tysiące mil pustynia. Wielki Erg, Zachodni Erg, Chergui, Sahara. Jestem zmęczony — myśli George — to przecież już 33 godziny, jak opuściliśmy Montreal, a w tym tylko sześć godzin snu. I powoli przymyka oczy. Widzi znów, spokojne, szczęśliwe farmy włoskich osadników wokół Castel Benito i postać inżyniera. Znów słyszy jego powolne, nabrzmiałe bólem słowa: — "Doprawdy, nie wiem, ku czemu ludzkość zdąża. Nawą państw kierują szaleńcy. Przecież i Włochy i Niemcy żyły w zupełnym dobrobycie. Pocóż rozpętano tę wojnę? Ekspansja? Czy Pan sądzi, że Francuzi nie pozwoliliby Niemcom nawadniać i kolonizować Zachodniej Sahary? Czy mojej ojczyźnie potrzebna była Albania? Spędziłem całe życie tu, w Libii. Pobudowałem tysiące studni, które stały się ośrodkiem nowego, szczęśliwego życia. Teraz, gdy stoję nad grobem, widzę pracę swego całego życia zdruzgotaną, szczęście tysięcy rodzin zniszczone. W jakim celu? W imię jakich ideałów? Panowanie człowieka nad człowiekiem? Czyż nie lepiej zjednoczyć swe siły dla opanowania przyrody? Dla zapewnienia szczęścia jak największej ilości ludzi? Za moich czasów, tak w mojej ojczystej Italii, jak i w całej zresztą Europie, nie mogłem się nigdy doprosić o tysiące na budowę studni artezyjskich, niosących życie. Ale moi koledzy, którzy budowali armaty i czołgi, otrzymywali zawsze każdy zażądany milion, czy setkę milionów. Pan jest młodszy o jedno pokolenie, Pan może będzie odbudowywał świat z ruin i zgliszcz. Jak Pan to czuje i myśli? Pan, lotnik?"

KTO BĘDZIE ODBUDOWYWAŁ ŚWIAT?

George otrząsa się z sennego marzenia. Samolot minął już nareszcie rozległą depresję stanowiącą wschodni kraniec Wielkiego Erg'u i teraz leci nad pustynnym płaskowyżem Libii. Z lewej strony przybliża się, słabo rysująca się na dalekim, dalekim horyzoncie linia morskiego brzegu. Są na wysokości wyspy Djerba, zbliżają się właśnie do Castel Benito. George ponownie zapada w senne marzenia. Śmieszny marzyciel z tego inżyniera. "Odbudowywać świat z ruin i zgliszcz". George przypomina sobie swoją odpowiedź: — "Pan mówi: odbudowywać świat. Jakby to panu powiedzieć. Zacznę od siebie. Poszedłem do lotnictwa, bo mi imponowali ludzie tacy, jak Mermoz, Gillehome, Post. Wielcy pionierzy transkontynentalnych szlaków. Wierzyłem, że lotnictwo stanie się czynnikiem zbratania całej ludzkości. Życie dziwnie zadrwiło z tych marzeń. Lotnictwo stało się straszliwym narzędziem walki w ręku kilku szaleńczych zbrodniarzy, co za pomocą lotnictwa chcieli uchwycić chimerę władzy nad światem. Gdy napadnięto mój kraj, poszedłem walczyć. Walczę. Mogę walczyć jeszcze przez wiele lat. Ale już nie mogę "odbudowywać świata z ruin i zgliszcz". Za dużo narosło w mym sercu nienawiści, pragnienia zemsty, chęci odwetu i kary. Nie wierzę, by tacy jak ja mogli odbudować świat. Trwałe budowle wznosi się na fundamentach miłości, zaufania, wiary. W moim sercu jest więcej nienawiści, niż miłości". — "Więc któż ma podjąć to zadanie?" — pyta stary inżynier. George zatacza ręką w kierunku bawiących się w ogródku farmy dzieci: — "One, tylko one, jeśli potrafimy je wychować, nie zatruwając ich dusz tą nienawiścią, która rozdzieliła na wieki ich ojców".

NAD POBOJOWISKAMI KAMPANII AFRYKAŃSKIEJ

W *inter-comm* rozlega się głos Julka:

—"Popatrz, ile czołgów tam w dole, na lewo od tej żółtej plamy".

George otrząsa się z sennych widziadeł. Prawda, teraz będą już prawie przez cały czas przelatywali nad pobojowiskami kampanii afrykańskiej. Ponieważ przez cały czas wiatry wiejące z zachodu powiększają szybkość samolotu, Julek zgadza się, by czas nadrobiony dzięki sprzyjającym wiatrom poświęcić na obejrzenie pobojowisk. Skręca ku północo-wschodowi i pozostawiając z lewej strony Tobruk, dochodzi do morza. Stąd morzem aż do El Alamein. Samolot leci na wysokości 5000 stóp nad brzegiem morza.

Widok błękitno-szafirowych fal Śródziemnomorza wpływa orzeźwiająco na oczy, zmęczone wielogodzinnym wpatrywaniem się w rudą pustynię. Dołem ściele się Płaskowyż Libijski, tu, przy morzu, posiadający mniej dziki i mniej pustynny charakter. Równolegle do morskiego brzegu wiją się dwie długie wstęgi: czarna — to asfaltowa szosa; wąska, błyszcząca podwójną niteczką — to tor kolejowy. Szosa wije się wśród wzgórz i każde wzgórze, każda cieśnina wąwozu nosi ślady walk stoczonych o jej posiadanie. Głębokie leje świadczą o celności przeprowadzanych tu bombardowań. Na niektórych płaskowyżach, gdzie musiały zetknąć się ze sobą czołgi — leżą po dziś ich nieruchome, do połowy zasypane piaskiem cielska. Jedna z takich wyżyn jest wprost usiana czołgami. Z wysokości 5000 stóp nie jest możliwe ustalić, do kogo należały te rozbite potwory. Ale bez trudu można odróżnić charakterystyczne płaty samolotów "Stuka", zalegające gęsto całą drogę pomiędzy El Alamein a Tobrukiem.

BIAŁY DOMEK, KTÓRY ZROBIŁ HISTORYCZNĄ KARIERĘ

Słońce przetoczyło się na zachodni skraj nieba i w jego jasnych promieniach już widać bielejące mury Aleksandrii. Na dole teren zryty licznymi rowami okopów, pocięty charakterystycznymi zygzakami zasieków, pokryty gęsto stanowiskami baterii. George ujmuje mikro:

—"Julek, ten mały, biały domek wprost przed nami. Widzisz? To El Alamein".

El Alamein. Tu doszedł Rommel, stąd, zapewne z któregoś z tych wzgórz, patrzał na widne w dali białe mury Aleksandrii, od której już nie dzieliła go żadna naturalna przeszkoda, do której wiodła prosta, asfaltowana szosa przymorska. Z tych to zapewne wzgórz, oczy weteranów Afrykańskiego Korpusu patrzyły na białe, wyraźnie się rysujące, mury Aleksandrii. Patrząc na mury



Aleksandrii, wiedzieli zapewne, że tam, daleko, o tysiące mil na północny-wschód, oczy ich kolegów patrzą tak samo na jasne wody Morza Kaspijskiego. Stojąc upojeni zwycięstwami, wpatrując się w tak niedaleki już cel swego tysiące mil liczącego, zwycięskiego dotąd pochodu, zapewne nie przypuszczali, że stoją na szczytowym, zwrotnym punkcie swej wojennej chwały. Że tu, naprzeciw nim, z tego białego domku, wyjdzie wysoki, szczupły pan, miły i uśmiechnięty, nienoszący ozdobionego złotem generalskiego munduru, tylko zwykłą, żołnierską, tropikalną koszulkę. Nie wspierający się na szabli ani marszałkowskiej buławie, ale na zwykłej lasce. Nie przypuszczali wspaniali, zwycięscy weterani Afrykańskiego Korpusu, że ten pan, tak niepodobny do ich wspaniałego Marszałka, zagrodzi im drogę na dłużej, niż parę dni. Zagrodził. Zatrzymał. I zdobywszy najważniejszy atut każdego wodza: miłość i zaufanie swych żołnierzy — poprowadził ich ku jednemu z najwspanialszych, przełomowych zwycięstw. Biały, niewielki domek, przystanek kolejowy El Alamein, stał się punktem, gdzie zawróciła historia świata.

George patrzy uważnymi oczyma na przesuwający się tam, w dole, niewielki, skromny domek. Julek musi czuć to samo, gdyż kładzie "Liberatora" w wiraż i zatacza rundę nad miejscem, gdzie los odwrócił kartę. George patrzy chwilę na leżącą przed nim mapę:

—"Julek, kurs na Kairo 123 stopnie. Tadek, nadaj ETA /czas przybycia/ 1840 GMT".

LĄDOWANIE W OBLICZU PIRAMID

"Liberator" kładzie się na nowy kurs, El Alamein znika pod lewym płatem. Znów tylko piasek pustyni. Ale już po kilkunastu minutach lotu zabłysła wstęga Nilu i zabieliły się mury Kairu. Na południe od tych murów, nad linię horyzontu wysuwają się dwa wysokie, równomierne stożki.

—"Julek, piramidy".

—"Ty mi lotnisko pokaż, nie piramidy, na piramidzie nie wyląduję" — Julek zniecierpliwił się wielogodzinnym siedzeniem przy sterach "Liberatora".

Ale już widać wielkie, czarne "X" asfaltowanych *runwayów*. Tadek rozmawia z wieżą i Julek rozpoczyna zwykły rytuał lądowania. Runda, zezwolenie, wyjście na kierunek, podwozie, klapy, przytarcie potężnych kół o gładź *runway'u* i wyhamowanie rozpędzonej masy 60.000 funtów. Przed samolotem pojawia się niewielki samochód z napisem: *Follow me!*

Dokołowawszy na wyznaczone miejsce, Julek wyłącza motory. George patrzy na zegarek i zapisuje czas. Od chwili opuszczenia Montreal'u upłynęło równo 40 godzin.

—"No, to skończyliśmy z Oceanem i Afryką" — mówi Julek wychodząc z samolotu.

Ale słowa jego są wypowiedziane zbyt wcześnie. Afryka jeszcze nie skończyła z nami i dopiero nazajutrz miała się nam objawić w całej straszliwej grozie.

GROZA ZWIASTOWANA PRZEZ KOLORY NA NIEBIE

Była pośniadaniowa pora i większość nieodlatujących tego dnia załóg wylegiwała się na tarasie messy, gdy obsługujący messę arabscy chłopcy: *"Es-ma"*, zwani tak, gdyż w ten sposób się na nich woła: /*Es-sma*! — Słuchaj!/, zaczęli na gwałt zamykać wszystkie okna i drzwi. Na tarasie pojawił się oficer pełniący obowiązki sekretarza messy i radził nam udać się natychmiast do namiotów, zabezpieczyć rzeczy i czym prędzej powrócić do messy. Zapytany o przyczynę tej trwogi, wypowiedział tylko jedno słowo: harmattan i wskazał ręką ku południowemu-wschodowi.

Na jasnym, białym od żaru niebie, różowiło się kilka chmurek, szybko idących w kierunku lotniska. Chmurki miały postać wypiętrzonych nadmiernie cumulusów, z podstawą tuż przy ziemi i z wypiętrzeniem do jakich 6000 — 7000 stóp. Tylko kolor tych chmur był odmienny od ołowianej szarości, lub jasnej bieli normalnych cumulusów. Kolor był różowawy po brzegach z lekkim, piaskowym odcieniem i przechodził w intensywną rudość, prawie czerwień w częściach środkowych chmury. Udaliśmy się do namiotu.

—"Co ja tu będę zabezpieczał?" — mówił Tadek — "włożę graty do walizki i święto".

Ale mieszkająca w naszym namiocie załoga z Afrykańskiej Grupy Transportowej, zabierała się poważnie do sprawy ochrony swego mienia. George ze zdziwieniem obserwował, że "afrykańskie scypiony" /żartobliwa nazwa afrykańskich *ferry-pilotów*/ zdejmują zegarki, owijają je w chusteczki, chusteczki kładą do rękawiczek, rękawiczki owijają w całą posiadaną bieliznę, to wszystko chowają do walizek a same znów walizki owijają w koce /prześcieradła nie są znane na Bliskim i Dalekim Wschodzie; wtajemniczeni twierdzą, że ich białość zbyt przyciągała uwagę pluskiew i wszelkiego innego robactwa i dlatego zaniechano ich stosowania w wielkich karawan-serajach lotniczych Wschodu/.

—"Julek, może i my tak zrobimy?" — sondował ostrożnie opinię swego *skipper'a* George.

—"Wariat?" — zdziwił się Julek — "mój zegarek jest *"waterproof and antimagnetic"*, niech strusie zawijają swe graty w koce, ja swoje zostawiam, jak i Tadek, w walizce".

—"A ja jednak zabezpieczę mój chronometr" — upiera się George.

"HARMATTAN" CZYLI WIATR Z PIEKŁA

W tej samej chwili namiot wkopany do połowy w ziemię /dla ochrony przed gorącem/, zatrząsł się od gwałtownego uderzenia pierwszej fali nadlatującego harmattan'u. Poprzez podwójne ściany namiotu zaczął się sączyć piasek i już po upływie kilku minut piasek był wszędzie. Drobniutki, wnikliwy miał przenikał przez wszystko, był wszędzie. Powietrze w namiocie stawało się z każdą minutą coraz bardziej przesycone drobniutkim pyłem, który wdzierał się do nosa, do gardła, utrudniając oddech. "Scypiony" przygotowywały się do wyjścia, zapinając wszystkie guziki koszul, opuszczając rękawy i wtykając chusteczki w usta. Jeden z nich zwrócił się do George'a:

—"Mówię, czy byliście już w burzy piaskowej? Jeśli nie, to trzymajcie się z nami, o ile nie chcecie przejść przez piekło".

—"A co zamierzacie zrobić?" — zapytał ostrożny George.

—"Musimy wrócić do messy, póki jeszcze harmattan nie nadciągnął — potem już nie będzie mowy o przejściu, a siedzieć cały dzień na głodno, nie warto. Idziemy, śpieszcie się".

Przez wąską szczelinę wyczołgali się z namiotu. Wychodząc z wykopu, którym namiot był otoczony, George wyprostował się i w tejże chwili potężny podmuch zmusił go do przebiegnięcia paru kroków, zanim nie przewrócił się o jakąś zaspę piasku. Dopiero leżąc w miękkim, sypkim piasku miał czas się zdziwić, że pomimo wczesnej pory, było prawie ciemno. Jasno oświetlone okna messy świeciły jakby poprzez zasłonę gęstej, rudawej mgły i światło było zamazane, mimo że odległość z namiotu do messy nie przekraczała 50 kroków. Te 50 kroków, w ciągu następnego kwadransa wydawały się róść w całe mile drogi. Czołgając się na czworakach, walcząc z uderzającymi nań falami lotnego piasku i odrywającymi wprost od ziemi porywami szalonej wichury, dowlókł się po wielu wysiłkach do murowanego bloku messy. Na szczęście, doszedł od strony podwietrznej i natrafił na drzwi, które ustąpiły, wpuszczając go do jadalni.

LUDZIE, KTÓRZY WYLĄDOWALI I SAMOLOT, KTÓRY NIE WYLĄDOWAŁ

Przywitał go gromki wybuch śmiechu, zgromadzonych już w messie "scypionów". Wszystkie kieszenie koszulki i spodni były pełne piasku. Piasek był wszędzie: we włosach, w butach, w skarpetkach, za kołnierzem, za koszulą, w spodniach. Ani się obejrzał, gdy stał już na niezłej kupce piachu, który wytrząsł się z jego postaci i spływał w dalszym ciągu na podłogę messy przy każdym poruszeniu. Uporawszy się przy pomocy *"Es-sma"* z nadmiernym balastem, George zasiadł w fotelu i przyłączył się do ogólnej zabawy, polegającej na obserwowaniu min i postaci kolegów, którzy z namiotów napływali do messy. — Ja przynajmniej szedłem do messy na dwóch nogach, jak na białego przystało — pocieszył się w myśli George na widok wpadających do messy czworonogów, które dopiero na dźwięk powszechnego śmiechu prostowały się i niepewnymi, zasypanymi piaskiem oczyma wodziły po messie, zanim zdecydowały się porzucić bezpieczną, lecz nieprzystojącą godności białego postawę raczkującego goryla.

O właściwej godzinie podano lunch. Po lunchu znów wszyscy powrócili do foteli. Koło godziny drugiej wiatr zelżał i nadjechało ciężarowe auto przywożące oficerów, którzy mieli służbę w kontroli ruchu. Przybywający przywieźli wiadomość, że ponad lotniskiem krąży "Liberator", który tu przybył przed paru godzinami, był skierowany do Liddy, a że tam burza była jeszcze silniejsza, skierowano go z powrotem do Kairu, gdzie nasilenie harmattan'u zdawało się przemijać. "Liberator" może być w powietrzu do godziny trzeciej — potem MUSI lądować, gdyż wyczerpie mu się zapas paliwa.

ŚWIATŁA W PIASKOWEJ MGLE

George wyjrzał na zawietrzną stronę messy. Widzialność ograniczała się do 15 yardów. Nie było już widać zupełnie, nawet najsłabszych zarysów, magazynu stojącego o 20 yardów od messy. Powrócił do messy, zwabiony chrapliwym bełkotem głośnika, który wzywał do udania się do *flying control*.

Gdy wsiadali do wielkich ciężarówek, które zajechały przed messę, wiatr nieco osłabł, był jednak silniejszy od wszystkich wiatrów, jakie George napotkał w swym życiu. W powietrzu wisiała gęsta zawiesina drobnego pyłu i silne reflektory ciężarówek nie rzucały światła dłuższego ponad 10 yardów. We *flying control* dowiedział się, że siła wiatru w chwili obecnej wynosi tylko 87 mil na godzinę, a notujący siłę wiatru aerograf złamał się o godzinie 11.47, zanotowawszy szybkość wiatru 128 mil na godzinę.

Sam Dowódca Stacji kierował pracami nad zapewnieniem krążącemu nad lotniskiem "Liberatorowi" najlepszych warunków lądowania. Ponad 500 lotników, z załóg powietrznych i ziemnych ustawiono wzdłuż *runway'u*, z rozkazem strzelania rakiet, gdy "Liberator" będzie podchodził do lądowania. Dalszą linię stanowiło kilkadziesiąt samochodów, których reflektory odwrócone w górę, miały zastąpić nikłe i niewidoczne w tym rudawym pyle światełka *flare-path'u*. Zapalono także wszystkie reflektory obrony przeciwlotniczej, których potężne światła, w tej przesyconej pyłem atmosferze nie świeciły silniej od normalnej kieszonkowej latarki.

OŚLEPIONY "LANCASTER"

Stojąc przy prawym skraju *runway'u*, mniej więcej w pośrodku jego długości, George cierpliwie czekał na sygnał do strzelania rakiet. Samolot zbliżał się od strony podwietrznej i George wiedział, że nie usłyszy jego motorów. Zastanawiał się, czy zdąży go zobaczyć i uskoczyć w porę z drogi maszynie zbliżającej się z szybkością 140 mil. Od początku *runway'u* ot, jakby zapalano zapałki. George zdążył wystrzelić rakietę i jednocześnie ujrzał nad sobą, na wysokości 30 może 40 stóp, przelatującą maszynę. Właściwie nie maszynę samą lecz jej reflektor i światła do lądowania. Wzdłuż *runway'u* przejechał samochód oficera służbowego, który przez tubę zawiadamiał, że *"tower"* poinformował pilota, że przeszedł dobrze nad *runway'em* na wysokości około 30 stóp. Manewr będzie powtórzony.

Znów rozbłysły nikłe światełka strzelanych rakiet. Znów nad głową George'a zajaśniało słabiutkie w tym tumanie pyłu, a tak zazwyczaj oślepiające światło samolotowego reflektora. Tym razem samolot był nieco niżej. Znów przejechało auto oficera służbowego, zapowiadającego, by strzelać przed samolot, indywidualnie, dopiero gdy ujrzy się światełko reflektora. Pilot jest powiadomiony — informował oficer służbowy — że przeszedł o 20 stóp nad *runway'em*. Pilot nie widział świateł, na jego prośbę *flying control* zgodził się, by strzelać rakiety przed samolot.

George stoi w tumanie czerwonego pyłu, na skraju *runway'u*, w długiej linii lotników gotowych do wystrzelenia rakiet. Tam w górze krąży na ostatkach paliwa samolot. O wyskoczeniu załogi przy takim wietrze nie może być nawet mowy. Porozbijało by ich przy lądowaniu na śmierć. Muszą wylądować. Nie jest specjalnie miło stać na skraju *runway'u* w oczekiwaniu na samolot mający się wynurzyć z tego tumanu, ale o ileż milej czuć pod nogami "matkę ziemię", niż tak przelatywać na kilkanaście stóp nad *runway'em*, nie widząc ani reflektorów, ani strzelanych rakiet. Brrr!

LĄDOWANIE W ŚMIERĆ

Z początku *runway'u* błyskają światełka, nikłe światełka zapalanych zapałek. Buuff. O kilkanaście yardów przed stanowiskiem George'a reflektor samolotu dotknął ziemi i wyskoczył znów w górę, skrył się w tumanie pyłu. Teraz cały odcinek, na którym stoi George strzela pośpiesznie rakiety, jedną po drugiej. Jedną po drugiej. Samolot jest już na nawietrznej stronie i George słyszy łomot i trzask motorów. I nagle motory milkną.

Wszyscy, za wyjątkiem *crash party* mają rozkaz nie opuszczać wyznaczonych im stanowisk. George stoi i czeka na chwilę, gdy od nawietrznej strony usłyszy huk eksplodujących zbiorników i ujrzy blask pożaru. Przemknął samochód *crash party*, przemknęła sanitarka. Przemknęły samochody z *flying control*. Przemknął samochód Dowódcy. Cisza — jeżeli się nie zapalił, to wszystko jest O.K. — myśli George. Oczywiście — przypomina sobie — przecież się nie mógł zapalić, był na ostatnich resztkach paliwa. Wolno przejeżdża samochód oficera służbowego, który przez głośnik zawiadamia, że załoga cała, samolot rozbity. Powrót do normalnych zajęć. Samochody dla *air crew* oczekują na początku *runway'u*.

George spotyka się z Julkiem w samochodzie.

CZAS STANĄŁ

—"No co? Stary".

—"Lądowałem parę razy w angielskiej mgle, raz na "Halifax'ie". Tuż nad ziemią zobaczyłem, że idę na hangar. "Halifax" zawrócił jak "Spitfire", wyprowadziłem go ze skrętu z nad samej ziemi, po wylądowaniu siedziałem z pięć minut w maszynie, nim się pozbierałem z emocji — mówi Julek — ale już wolę mgłę, niż ten piaszczysty tuman".

—"Która godzina?" — pyta Tadek.

—"Druga dwadzieścia" — mówi Julek.

—"Druga czterdzieści" — mówi George. Po chwili obaj orientują się, że ich zegarki stoją. Pył przeniknął i do "Filip'a Patek" George'a i do *"waterproof and antimagnetic"* Julka.

—"Czekaj Tadek, w namiocie mam chronometr, to ci powiem".

Ale namioty są zwalone i głębokie jamy, w których stały namioty są równiusieńko zasypane. Szukaj teraz miejsca gdzie był namiot i odkopuj swe graty — myśli z goryczą George. "Scypiony" stoją i uśmiechają się z wyższością doświadczonych wilków pustyni.

—"Nic się nie martwcie — mówią — do wieczora *"Es-sma"* odkopią nasze namioty i poznajdują co większe pakunki. Mniejsze odkopią za kilka tysięcy lat archeolodzy".

—"Jutro odlatujemy z tego pogańskiego kraju" — pociesza się Julek.

Ale "scypiony" uwzięły się psuć mu dziś humor:

—"Jutro? Poczekasz kilka ładnych dni, zanim Ci *ground crew* wydmucha piasek z karburatorów i rur wydechowych. To ty myślisz, że twój "Liberator" jest, ot, tak gotów do lotu?"

Jeden ze "scypionów" jest mniej wyniosły i bardziej współczujący niedoli trans-atlantyckiej załogi:

—"Mówię, chłopcy, jedźcie do miasta, zamieszkajcie na tydzień w hotelu, a co dzień przez telefon poganiajcie *Maintenance Unit*, żeby wam przygotowała grata. Za tydzień będziecie mogli odlecieć. Kairo jest nie najgorszym miastem i wyjeżdżając, wcale nie będziecie żałować mojej rady".

—"Tylko osioł kwiczy i kopie, gdy go prowadzą do wygodnej stajenki" — aprobuje udzieloną, dobrą radę, George.

—"Zaprowadzę cię do "Pestek" i przedstawię cię moim znajomym" — zachęca Julka Tadek.

—"Dobrze, jedźmy do miasta, odwiedzę swych starych kolegów" — zgadza się w końcu Julek.

TO JEST TAKŻE ZAGADNIENIE

Zachęcony obietnicą "bakszisz'u" *"Es-sma"* gorliwie grzebie w otaczającym messę piasku i po pewnym czasie przynosi "prawie" wszystkie wygrzebane spod namiotu graty. Załoga ładuje się do samochodu i odjeżdża do oddalonego o 30 mil miasta.

—"Wszystko rozumiem, ale jak poprzez koce, walizkę, bieliznę, rękawiczki, jedno pudełko, drugie pudełko i jeszcze chustkę do nosa przedostał się piasek do wnętrza szczelnego chronometru — tego już nie rozumiem", żali się George.

Tadek nad czymś zawzięcie się głowi. Twarz jego przybiera wyraz, jaki mają ludzie rozwiązujący zawikłane "krzyżówki", w końcu postanawia zasięgnąć porady u *skipper'a*:

—"Julek, jak te biedne "Peściątka" dają sobie radę w czasie takiego harmattan'u?"

—"Tadek, jesteś prosię" — stwierdza spokojnie Julek.

BOLESŁAW POMIAN



* Por. cz I: Ocean, druk. w nr. 38 "Polski Walczącej" z b.r.

O.R.P. "Conrad"

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

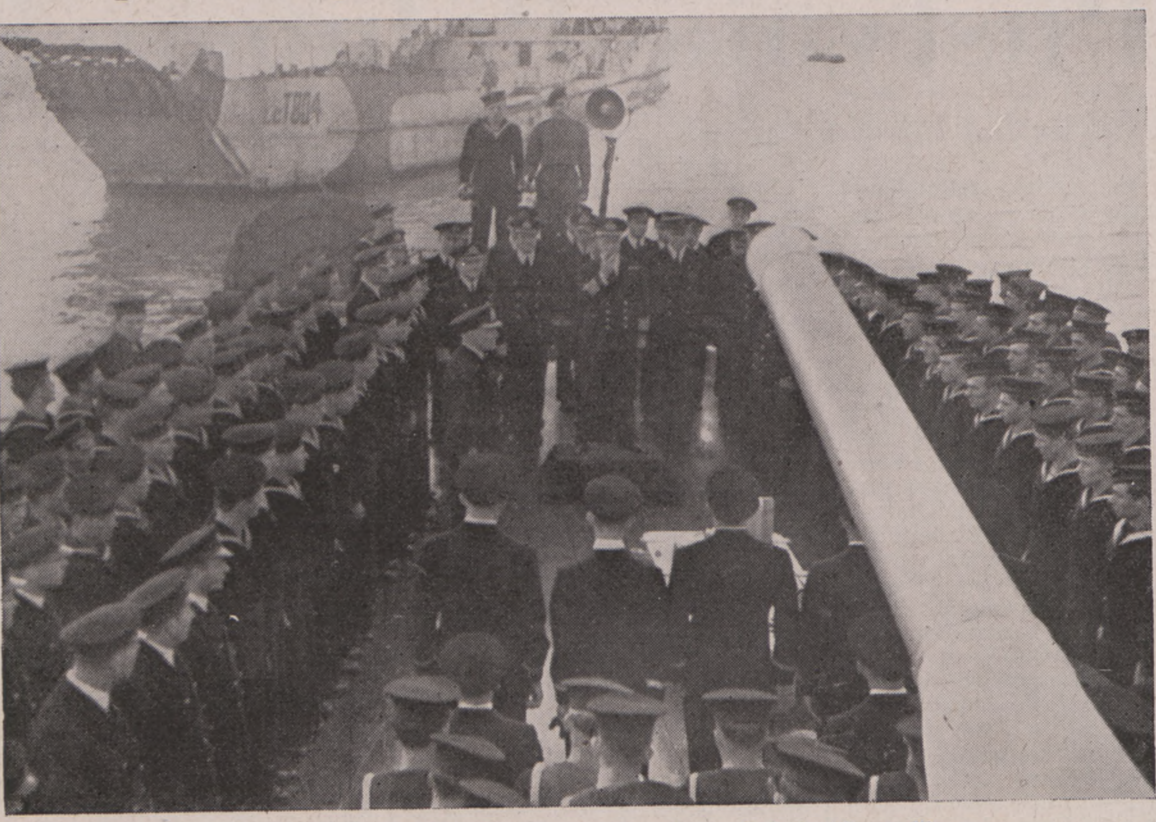
Pogłoski o obsadzaniu nowego krążownika dawno już kursowały po wszystkich stacjach zbornych, kadrze i innych komórkach organizacyjnych polskiej marynarki wojennej, rozsianych po całej Anglii. Miał to być . . . Ach! . . . Cóż to miał być za okręt! . . . Trzy wieże po trzy "patyki" /lufy armatnie/, samolot, *midged submarine* /kieszonkowa łódź podwodna/, żywa torpeda, dalocelowniki, ardiefy /radiowykrywacze/, pralnia, a w niej kilku murzynów z *Lend and Lease,* no i, około pięćdziesiąt uroczych Wrenek ze specjalnościami, nie istniejącymi jeszcze w męskim korpusie morskim. Ogólnie — pływająca obronna wyspa, komfort i same przyjemności. Kto się na niego nie pchał? Od samej góry spod znaku New Cavendish Street, poprzez dygnitarzy Komend Morskich i KUF'u, aż do kategorii "E" z "*Landing Permission*" /pozwolenie wyjścia na ląd/ miłościwie wydanego przez *H.M. Immigration Office* /królewski urząd imigracyjny/. Telefony, listy, pogaduszki, rezygnowanie z urlopów, przyśpieszony powrót ze szpitali, a nawet przyjazne uśmiechy do stołowych przybyłych z "Dragona". Wiadomo — pływająca wyspa, komfort i same przyjemności.

Siedziałem w kancelarii "Oświaty" kadry /wiem teraz dlaczego to miejsce nazywa się Oświatą. Dzień cały pali się światło, a mimo to, kancelaria czyni wrażenie ciasnej, borsuczej nory, którą to norę potrafi całkowicie wypełnić jedna osoba świetliczarki. Strasznie jestem *sorry* Panno Łucjo/ — gdy zajęczał dzwonek telefonu. Obudziłem się z południowej drzemki, klnąc niemiłosiernie na "nawał" pracy i natrętnych interesantów. Dzwonił dowódca kompanii sztabowej. Nie mogłem zrozumieć o co chodzi. Coś, jakby pakowanie, meldowanie się na stacji kolejowej, krążownik, "Conrad" i t.d., a wreszcie dodatek — "natychmiast". Ach! Natychmiast! . . . Znam to wyrażenie wojskowe i morskie. Natychmiast, to znaczy czekanie w zbiórce przez piętnaście lub więcej minut, to czekanie na samochód służbowy, motorówkę lub "*drifter*" przez pół godziny, to czekanie na wyjazd służbowy przez dwa dni, a nawet dłużej.

Nie myliłem się. Nie śpiesząc się ani trochę, zdążyłem spakować cały dobytek, pożegnać Niny, Winny i Joycy i na drugi dzień "doszlusowałem" na dworcu do pierwszej grupy oficerów i podoficerów jadących po odbiór krążownika.

Krewni jak się okazuje, to największa plaga naszych urzędów, ministerstw, zjednoczeń i stowarzyszeń. Zakradło się to obecnie do Marynarki Wojennej. Brat tego, to siostra tamtego, to znowu siostra siostry i tak w koło. W pociągu dowiaduję się, że nowym krążownikiem nie jest żaden inny okręt, a tylko "*sister ship*" /okręt tego samego typu/ naszego poczciwego "Dragona" — H.M.S. "Danae" i, że ma się nazywać "Conrad". "Conrad"? Co za "Conrad"? Mickiewiczowski — co się z Dziadów wywodzi, czy też Wallenrod, co Krzyżakom dowodził? A może Józef Conrad-Korzeniowski? Okazało się, że ma to być Conrad-Korzeniowski ze zmodernizowaną pisownią według recepty angielskiej. Wogóle pisownia angielska, jak zauważyłem, coraz więcej wkrada się do nas. N.p. piszemy *butter,* wymawiamy bater, a jemy margarynę. Coś mi się nie podoba ta recepta.

Ostatecznie "Conrad" taki czy inny będzie polskim krążownikiem, a że imię znanego pisarza zostało użyte jako nazwa okrętu, to fakt ten posłużył wszystkim administracyjnym i okrętowym pisarzom jako powód do spoglądania z pewnego rodzaju wyższością na mniej doświadczonych w piórze, ale zato doskonale władających pilnikiem, młotkiem, kołem manewrowym, czy świetnie obsługujących sześciocalówki artylerzystów, czy maszynistów. Będzie też mógł nasz prowiantowy Pagali zachęcać Bąka do staranniejszego zapisywania wydawanego *corned-beefu* w nadziei zasłynięcia na niwie pisarskiej, bo stąd już tylko jeden krok do sławy morskiej, albo do najmilszego *rendez-vous* z gwiazdą lotniczej czołówki teatralnej.



Dowódca brytyjski przemawia do załogi O.R.P. "Conrad"

H.M.S. "Danae", tak jak i "Dragon". Dwa maszty, wieże artyleryjskie, pom-pomy, oerlikony, ciasnota na pomieszczeniach marynarskich i krematorium na pomieszczeniach podoficerskich. Krematorium? Tak. Dla prusaków. Jedyny sposób pozbycia się ich. Wstawia się na pół godziny do elektrycznej duchówki, która jest przechowalnią ciepłej strawy dla znajdujących się w tym czasie na wachcie marynarzy, talerz z czymś wonnym, nęcącym podniebienie żarłoków /najlepiej nadaje się do tego ryba, wonna ryba/ i zostawia się duchówkę otwartą. Alarm nawet nie ogłoszony, ogarnia wtedy zastępy czekających tylko na to, odziedziczonych po Anglikach, mieszkańcach pomieszczeń. Całe karawany ciągną w tym kierunku, a za chwilę połowa duchówki zapełnia się łażącymi prusakami. Zamyka się wtedy drzwi, włącza się prąd, a za pół godziny starannie wymiata się duchówkę. Jest to niemiecki wynalazek, a że nieopatentowany, wypróbowujemy go na razie na małych prusakach, zanim nie zabierzemy się do właściwych.

Po wielu trudach i oczekiwaniach na różnego rodzaju środki transportowe, mała grupka podoficerów z wielką kupą bagaży, wyładowała się na "H.M.S. Danae". Kolacja na sposób angielski, a jakże, łażenie po okręcie i rozglądanie się w szczegółach, o potem kino. Po kinie niespodzianka. Któryś z angielskich marynarzy zapomniał zamknąć zaworu w kuchni i pomieszczenie nasze wyglądało jak Bałtyk, z pływającymi pod stołem i ławkami pantoflami, papierami i maszyną do pisania. Ta jednak, niebardzo zachwycając się sportem wodnym, spoczęła na podłodze jako przestroga na przyszłość, abym nie wystukiwał na niej rzeczy niepotrzebnych i nieponażnych, tak jak to czynię w tej chwili. Nie powiem, żeby niespodzianka ta zepsuła nam świetne humory.

Za parę dni przybyła następna grupa, a jeszcze za parę — reszta załogi. Ruch, gorączkowa praca polegająca na rozlokowaniu marynarzy, sprawiła nie mało kłopotu pierwszemu oficerowi, komandorowi S.

—Ile haków hamakowych jest na tym pomieszczeniu? — zadaje pytanie.

—Osiemnaście, panie komandorze.

—Dobrze. Zapisać. Pomieszczenie Nr. 19: osiemnaście hamaków i czterech na bakistach. Razem dwudziestu dwóch.

—Panie komandorze, dwa haki są potrzebne do powieszenia hamaka — oponuje ktoś z obecnych — tylko Gestapo wiesza na jednym haku.

—To nic złotko, ja się też już nauczyłem.

I osiemnaście hamaków dynda na pomieszczeniu Nr. 19.

* * *

Ponury, październikowy poranek. Nabrzmiałe ciężarem ołowiane chmury otulały szczyty masztów, stojących obok na kotwicach brytyjskich okrętów wojennych. Przelotny deszcz ciął od czasu do czasu twarze znieruchomiałych na pokładzie marynarzy. "Znak Dowódcy" już zamieniono w nocy. Za chwilę ma się odbyć podniesienie bandery. Czekamy na przybycie dowódcy okrętu, który, jak to zwyczaj nakazuje, zatrzymał się na lądzie aż do odpowiedniej chwili objęcia okrętu. Na reji powiewa "Pięć przed" /pięć minut przed podniesieniem bandery/. Załoga polska po obu burtach na rufie, załoga angielska — pomiędzy dwoma szeregami załogi polskiej. Przemawia angielski dowódca okrętu, a żegnając swoją załogę, przekazuje okręt w nasze władanie i życzy chlubnej służby i marynarskiego szczęścia. "Pięć przed" spada w dół. Angielski trębacz gra "Baczność", a gdy skończył, trębacz polski gra "Podniesienie Bandery".

Powoli, majestatycznie, rozwiana na wietrze, dźwiga się bandera "Tej co nie zginęła". Coś ściska za gardło, coś tak głębokiego, idącego z wnętrza najlepszego ludzkiego jestestwa, wywleka się aż po same białka oczu, przechodząc przez krtań — łaskocze, dusi i rozpiera pierś świadomością, że deska na której stoisz kolego, jest w twoim i w moim posiadaniu, że jest nasza. Rozumiesz mnie? Nasza. Ten okręt na którym co prawda nie zastałeś murzynów, lecz na którym sam też nie będziesz murzynem, choć zwiesz siebie sługą Rzeczypospolitej, ten okręt, choć może stary, choć nie ma trzech wież po trzy "patyki" — pływać będzie pod polską banderą i przypominać światu, że "nie prosimy o wolność, lecz walczymy o nią".

Wzrok marynarzy prowadzi wznoszącą się banderę. Długo, długo przeciąga trębacz ostatnią nutę. Wreszcie "Spocznij" i załoga wykonuje "W tył zwrot". Przemawia zastępca szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej, odczytując życzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i życzenia Ministra Obrony Narodowej. Wreszcie dowódca okrętu dziękując za okręt wyraża nadzieję i pewność dalszego, wspaniałego kontynuowania tradycji H.M.S. "Danae" i stworzenia równie chlubnej tradycji O.R.P. "Conrad". Okręt znalazł się we władaniu Polaków.

"Conrad", to nie tylko okręt o tylu to a tylu działach określonego kalibru i donośności. "Conrad", to coś, co wyraża niezniszczalną żywotność Narodu Polskiego, to symbol woli walki i wytrwania. Wytrwania nie w zaczajeniu się i wyczekiwaniu. Wytrwania nie z ubytkiem, lecz przeciwnie — z przyrostem sił i przyrostem ducha. Bo "Conrad", to dalsze ogniwo łańcucha pływających na straży polskiego Bałtyku wysp, wywodzących się z małej komórki organicznej "Błyskawicy", "Gromu" i "Burzy", czy też "Wilka" i "Orła". Bo "Conrad", to jakby głos Mickiewiczowskiego Konrada, głos co przejęty "z pokoleń, pójdzie w pokolenia i wstrząśnie państw obszarem".

STANISŁAW SIKORSKI

Lekarze — marynarze bojowi

Z okazji przybycia do Londynu jednego z oficerów Marynarki Wojennej, który w charakterze lekarza okrętowego był w niejednym boju, przeprowadziliśmy z nim interesującą rozmowę. Pragniemy opowiedzieć czytelnikowi coś niecoś o tych ludziach, o oficerach marynarki, lekarzach, pełniących służbę na bojowych jednostkach polskiej floty.

Stosunkowo mało się o nich wie, mało się pamięta, bo mało się o nich mówi. Gdy się słucha opowieści, lub czyta o jakiejś morskiej akcji bojowej, automatycznie w wyobraźni naszej, na czoło aktorów dramatu wysuwa się postać dowódcy okrętu. Jest to zresztą słuszne. Dowódca okrętu jest duszą okrętu i duszą akcji . . . Ale współdziałanie, zgrana współpraca wszystkich działów służby na okręcie jest czynnikiem absolutnie nieodzownym dla pracy okrętowej w ogóle, a dla powodzenia akcji bojowej w szczególności. A więc maszyny . . . a więc artyleria . . . a więc torpedyści . . . a więc sygnaliści . . . podsłuch podwodny . . . radiowykrywanie . . . Wszystko, wszystko to są delikatne i zarazem mocarne nerwy mózgu dowódczego, a także potężne ramiona zbrojne w bojowej akcji okrętu.

Okręt w akcji — to bój, to walka na życie i na śmierć. Wróg robi wszystko, aby siać zniszczenie na naszym okręcie, aby siać śmierć pośród członków załogi i unicestwić okręt. I oto tutaj widzimy lekarza okrętowego w jego wspaniałej roli. Jego normalna, codzienna, żmudna praca, polegająca na utrzymaniu odpowiedniego zdrowotnego stanu pośród członków załogi, przemienia się w czasie bitwy w czyn wojenny, wymagający najwyższego wysiłku i skupienia wszystkich zalet fachowca lekarza i żołnierza. Używamy tutaj przyjętego przez Polaków, uogólniającego wyrazu "ŻOŁNIERZA". Ale właściwie na okrętach są MARYNARZE.

I trzeba powiedzieć, że lekarz okrętowy jest naprawdę marynarzem. Dla niego nie są i nie mogą być utrudnieniem żadne niewygody morskiej służby i życia okrętowego. Nie istnieje dla niego fala, nie istnieje kołysanie okrętu. Żadne trudności w postaci szczupłości pomieszczenia dla wykonywania ciężkiej, precyzyjnej pracy. Nie zwraca uwagi na trudności wyjaławiania instrumentów chirurgicznych . . . czy na ogólny brak idealnej, szpitalnej aseptyki. Pokonywuje trudności — i tyle.

Na okręcie niezbyt dużym, a więc powiedzmy na kontrtorpedowcu, lekarz okrętowy ma jednego, czasem tylko dwu pomocników. Czasem, w czasie ciężkiego boju, gdy co chwila pociski nieprzyjacielskie rażą okręt i żywe ciało załogi — lekarz dwoi się, troi się — rozrywa się na dziesięć części . . . Zadanie jest trudne. Trzeba ratować życie ludzkie. Trzeba nieść pomoc cierpiącym, trzeba opatrywać lub operować ciężko rannych . . . Ale też trzeba dać możność okrętowi kontynuowania walki przez przywrócenie mu możliwie natychmiast tych bojowników, którzy mogą jeszcze wrócić na swoje stanowiska bojowe.

Okręt wstrząsany jest salwami własnej artylerii. Nagłe przechyły nawet jeśli nie ma wielkiej fali, spowodowane gwałtownymi zmianami kursu, też nie ułatwiają pracy chirurga. A nieprzyjacielskie pociski walące w kadłub, to już naprawdę ogromne utrudnienie. Czasem oznacza to zaledwie zgaśnięcie świateł, a czasem coś więcej, jeśli nie bezpośrednie niebezpieczeństwo dla lekarza, który pracuje nie wybierając sobie ani bezpieczniejszego, ani dogodniejszego miejsca.

W pewnej, bardzo ciężkiej opresji, w której znajdował się nasz krążownik O.R.P. "Dragon", lekarz miał właśnie takie dodatkowe utrudnienie, gdy okręt, będąc w śmiertelnym niebezpieczeństwie, został nagle pogrążony w mroku. A roboty, i to niesamowicie ciężkiej miał tak dużo, że całą tę epopeję należy zaliczyć do najbardziej dramatycznych.

Na jednym z naszych okrętów, który był w bardzo ciężkim boju, w jednym dniu poległo kilkunastu członków załogi. Jednak kilkudziesięciu rannych wyratował lekarz, z pomocą tylko jednego fachowo wyszkolonego podoficera sanitarnego. Ale też pracowali kilkadziesiąt godzin bez wytchnienia. Za sale operacyjne służyły okrętowa izba chorych, i messa /jadalnia/ oficerska i nawet poszczególne kabiny. Że sam lekarz ostał się przy życiu, to cud i opieka Boska.

Z innego znów polskiego okrętu, znajdującego się na otwartym oceanie — w czasie straszliwego sztormu, lekarz okrętowy przeprawił się sposobem stosowanym dla transportowania rozbitków, na inny sojuszniczy okręt. Okręt ten bowiem gwałtownie potrzebował natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Komandor, z którym przeprowadziliśmy wywiad, został powołany obecnie na wyższe stanowisko. Na stanowisko kierownicze, na lądzie. Dobry bowiem już kawał czasu spędził on na morzu jako lekarz okrętowy bojowych jednostek polskich. Wraca obecnie z okrętu bardzo już wsławionego swymi bojowymi czynami i ostatnio znów wzmiankowanego w komunikatach prasowych. Ma więc ten morski lekarz za sobą pracę, której mu się nie zapomni i za którą wielu ludzi będzie żywiło dla niego osobistą wdzięczną pamięć.

Z tytułu jego obecnego stanowiska będzie on gromadził w swoim ręku materiał o pracy innych oficerów marynarki wojennej, lekarzy bojowej floty polskiej. Będzie to niewątpliwie jedna z jasnych kart złotej księgi ogólnej historii polskiego czynu zbrojnego na morzu.

Że oficerowie marynarki, lekarze okrętowi są prawdziwymi marynarzami, i to marynarzami bojowymi, świadczą wymownie zdobiące ich piersi odznaczenia bojowe. Order "Virtuti Militari" na mundurze oficera, morskiego lekarza, jest czymś, co dobitnie mówi o roli i zasługach, jakie lekarz oddaje sprawie polskiej walki na morzu.

WAKL

Polscy spadochroniarze w Holandii*

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Rozpoczęła się przeprawa.

Droga polna, wzdłuż której leżeliśmy w rowach, była wąska i pełna błota. Noc nasiąknięta wilgocią kryła nas przed obserwacją Niemców, chociaż z obu stron rozciągały się otwarte przestrzenie łąk. Przed nami czernił się wąski, miejscami przeźroczysty pas lasu, z którego w kierunku na rzekę wylatywały czerwone kuleczki, irytujące nas swoim często kapryśnym, dziwacznym torem lotu. To strzelał czołg. Po łąkach tu i tam trzaskały pociski niemieckich moździerzy, a nad głową, sapiąc, śpieszyły się pociski artyleryjskie, wysyłane skądś, daleko za nami, w kierunku na Arnhem, gdzie zapalały się i gasły łuny wybuchów.

Leżę na trawie wśród żołnierzy Kwatery Głównej. Obok mnie są obaj foto-reporterzy Brygady i podporucznik Staś. Trzymamy się razem pod hasłem *"close-up"*. Ale jest ponuro, więc co chwila sprawdzamy, czy są wszyscy.

Jakieś uparte zgrupowanie niemieckich moździerzy tłucze potężnym młotemześrodkowanego ognia w pobliski horyzont krzewów, właśnie tam, dokąd prowadzi nasza droga.

Na dany znak nasza grupa, będąca obsadą następnej łodzi, podrywa się i idzie naprzód. Mijamy stłoczone samochody ciężarowe, które w nocy wydają się ogromne jak domy, przechodzimy obok czołgu leżącego na boku w rowie — z gąsienicą bezradnie podniesioną do góry. Następnie, jakby dla wytchnienia, miła dróżka przez choinkowy młody las. Wreszcie jakaś bramka, w głębi dom koło wyższego lasu i *"duck"* — bohater z londyńskiej gazety — zwalony w przydrożny rów. Tam znowu musimy czekać, chociaż wolelibyśmy czym prędzej odejść z tego miejsca. Nie należy bowiem do przyjemności przebywanie w punkcie, który na niemieckiej mapie na pewno oznaczono czerwonym ołówkiem. Świadczy o tym pięść moździerzy, która tylko dlatego wymierza cios po ciosie nieco w prawo od nas, że dowódca działonów pomylił się o ułamek stopnia. A nuż spostrzeże swoją omyłkę . . .

Pieśń karabinów maszynowych nie jest jeszcze przeznaczona dla nas, więc nie zwracamy na nią uwagi. Natomiast nic tak nie doprowadza do wściekłości, jak *"sniperzy"*. Włóczą się bezczelnie pod samym nosem i pukają krótkimi seriami — złe duchy lasu.

Gwizd rykoszetów i odłamków wpędza nas w szczelinę pomiędzy zboczem rowu a wywróconym *"duck-iem"*. Leżymy jeden koło drugiego, nakryci z góry hełmami. Żołnierz brytyjski, przytulony do mnie, powtarza półgłosem wciąż te same epitety, przeznaczone dla *"Jerries"*.

Następny "skok" musimy zrobić na nieprzyjemnie otwarte miejsce, tam, gdzie boczna droga podnosi się i łączy się z drogą główną, biegnącą po wysokim wale wzdłuż Renu. Jesteśmy jeszcze trochę w dole i dlatego właśnie tu zatrzymaliśmy się. Karabiny maszynowe zza rzeki muskają grzbiet wału. A tu jest "martwe pole". Nieprzyjemnie brzmi w tym momencie ten termin wojskowy. Tym bardziej, że od tego są moździerze. I jeszcze jakie!

Leżąc znów w rowie przydrożnym i czekając na swoją kolejkę, podziwiam organizatorów przeprawy — saperów, którzy już od kilku godzin "urzędują". Jedyne co mogą zrobić, aby przeprawa nie miała zacięć z ich powodu — to nie zwracać uwagi na ogień. Tak, jakby go wogóle nie było. Generał ze swoim ścisłym sztabem jest również tutaj — na drodze. Dobrze, że Niemcy o tym nie wiedzą. A *"sniperzy"* są tak blisko, że tylko rękę po nich wyciągnąć. Pukają do nas bez ustanku z bliskiej odległości — na szczęście z wielkim dla nich pechem.

Dowódca saperów, wysoki kapitan, dyryguje grupą żołnierzy, która jest przed nami. Podnoszą z ziemi łódź i idą na wał. Tam jest loteria, na której wygrywa się życie. Trzeba przejść drogą na wale kilkadziesiąt metrów i zejść w stronę rzeki. Nie przejmujemy się poprzednikami, bo zaraz pójdziemy sami w ich ślady. Świetlne pociski karabinów maszynowych odbijają się od nawierzchni drogi i z przeraźliwym jazgotem koziołkują w las.

Teraz na nas kolej. Ostatnia łódź zabrana, więc możemy iść szybko. Ledwo wbiegliśmy na wał, gdy nagły wybuch pożaru fabryki, trafionej pociskami naszej artylerii, zalał całą okolicę jasną poświatą. Rwiemy naprzód po wale, ile sił w nogach, bo światło zdemaskowało punkt naszego przejścia. Nie damy rady za jednym zamachem. Karabin maszynowy zamiótł drogę, a równocześnie salwy z moździerzy zaczęły druzgotać ziemię wokoło nas potwornym taranem. Zdawało się, że całe powietrze chrzęści od rozpylonego żelaza. Wzdłuż drogi ogrodzenie z drutu. Przewaliliśmy się przez nie w dół po wale. Chwilkę trwamy z głową wtuloną w drżącą ziemię i nowy skok, na los szczęścia, przez drogę ku równinie nadrzecznej — pod osłonę muru "Płonącej Farmy", bo taka nazwa utarła się później wśród naszych saperów.

Tam zdawało się nam, że zapanowała błoga cisza, chociaż przeciwległy brzeg nie przestawał pluć ogniem. Pod murem siedziało parę grup poprzednich. Coś tam zatkało się na przeprawie. Ktoś krzyknął:

Iść dalej! . . .

Więc poszliśmy. Za ścianą był spalony dom, a dalej przestrzeń płaska ku wodzie. Wybiegło nas kilku przed mur i — natychmiast runęliśmy na twarz. Ja osobiście odniosłem wrażenie, jakby dwa karabiny maszynowe biły z pobliskich krzaków pociskami świetlnymi wprost w twarz. Oczywiście były znacznie dalej, ale ogień pochodził stamtąd. Wycofaliśmy się z powrotem za mur. I wtenczas na dodatek artyleria plot. sypnęła szrapnelami, a celna salwa moździerzy jeszcze raz grzmotnęła w "Płonącą Farmę".

Jęki rannych zmieszały się z okrzykami rozkazów. Zrozumiałem, że przerwano przeprawę. Dochodziła już godzina piąta, kiedy przed świtem woda zaczyna "fosforyzować", uwidaczniając każdy na niej przedmiot. Zresztą i bez tego stało się jasno od pożaru. Klęliśmy za to na naszą artylerię ile wlazło. Ale to było później — na razie wiałem z powrotem za wał i w boczną drogę, przypadając od czasu do czasu do ziemi.

Tej nocy przeprawiono na pomoc Dywizji niecały batalion i część Kwatery Głównej. Warunki po drugiej stronie rzeki były takie, że nigdy nie uda się ustalić dokładnej liczby strat w czasie tej przeprawy. Saperzy, którzy ją organizowali, którzy przeprawiali się kilkakrotnie na drugi brzeg, wynosili rannych, bez przerwy pod największym ogniem — jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, a może dzięki przysłowiowemu łutowi szczęścia, czy też dzięki dzielności i świetnemu wyszkoleniu — ponieśli stosunkowo najmniejsze straty. I tylko w rannych. Ale i oni mówią o tej nocy, jako nocy "przeklętej amfibii".

W czwartą noc zmagań o los dywizji brytyjskiej, nasza Brygada, a raczej jej pozostała część, przygotowała się znów do przeprawy. Brytyjski batalion piechoty "Dorset" świeżo przybyły nad Ren dla tego samego zadania, zaczął przeprawiać się jako pierwszy na posiadanych przez siebie 10-ciu łodziach. Przeprawa odbyła się w trochę innym miejscu, mniej narażonym na ogień, lecz nie gwarantującym połączenia się z dywizją. Chociaż tym razem przeprawę osłaniał potężny ogień artyleryjski — przeprawa tego batalionu zajęła całą noc, przy czym nie wszystkich udało się przeprawić, a jeszcze mniej dotarło do dywizji. Nie mając łodzi, Brygada Spadochronowa nie mogła kontynuować przeprawy tej nocy.

To był ostatni ruch oddziałów w tamtą stronę. Obrona niemiecka na Renie wykazała, że półśrodkami nie można sforsować rzeki; — można było tylko przekradać się małymi grupkami, ponosząc nieproporcjonalnie duże straty w stosunku do osiąganych korzyści. Dywizji to nie mogło uratować, ponieważ pozostały z niej tylko resztki, nadające się raczej do wycofania.

Niemcy pod Arnhem wykazali, że mimo wszystkie ostatnie klęski, są wciąż twardym i groźnym przeciwnikiem. Trzeba kilka razy i twardo bić w bramy prowadzące do Rzeszy, aby otworzyć sobie drogę do zwycięstwa. Walki wojsk powietrznych były pierwszym uderzeniem.

* * *

Sposób, w jaki Brygada Spadochronowa weszła do akcji pod Arnhem, był nader skomplikowany. Już 18 września, w drugim dniu desantów, wylądowało wraz z Brytyjczykami kilka polskich szybowców. W tymże dniu jeden z naszych oficerów łącznikowych, oraz obsługa z radiostacją, wylądowali na spadochronach.

W dniu 19 września w ramach następnego desantu brytyjskiej 1. Dywizji Powietrznej, przybył zasadniczy rzut szybowcowy Brygady, liczący w chwili startu w Anglii 35 szybowców. Oba te lądowania odbyły się na północnym brzegu dolnego Renu. Natomiast na południowym brzegu — jak wiemy — w dniu 21 września wylądował cały rzut spadochronowy Brygady, oprócz — co także już wiemy — jednego batalionu, który został w czasie późniejszym zrzucony na płd.-wsch. od Nijmegen i zdołał połączyć się z Brygadą dopiero 24 września.

Jak widzimy, od samego początku Brygada została przedzielona przez Ren. Po przeprawach w nocy 22/23 i 23/24 września na północnym brzegu rzeki znajdowało się około 40% stanu Brygady. Los żołnierzy polskich na północ od Renu był tak różny, jak różnymi drogami tam się znaleźli.

Pierwsze lądowanie polskich szybowców skorzystało z błogosławieństwa zaskoczenia, które nie dało Niemcom możności zorganizowania odpowiedniej obrony. Dzięki temu cała służba łącznikowa, oraz jedna nasza bateria ppanc. wylądowały w kilka szybowców bez najmniejszych strat.

Dopiero w następnym dniu zarysowały się groźne pęknięcia na misternie — może nawet nazbyt misternie — skonstruowanym planie zdobycia Arnhem. W dniu tym spodziewano się lądowania szybowców już w godzinach południowych, lecz w tymże czasie nadleciała chmara "Messerschmittów" i przygniotła wojska powietrzne do ziemi. Polscy oficerowie łącznikowi, kapitan Z. i porucznik P., z niepokojem oczekiwali przybycia szybowców, wśród których miało być także 35 polskich z dalszymi bateriami artylerii przeciwpancernej Brygady, z samochodami, zaopatrzeniem, i różnymi służbami. Powodów do troski było aż nadto. *Flak* niemiecki od wczoraj stanowczo niepokojąco się wzmocnił. A co gorsze — w bezpośrednim sąsiedztwie przewidzianego lądowiska toczyły się wciąż uporczywe walki z Niemcami, którzy trzymali się twardo, nie zdradzając najmniejszej ochoty do wycofania się.

Szybowce miały właśnie za chwilę lądować na to gorące miejsce.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że spadochroniarze, o ile kochają i cenią swoje "Dakoty", o tyle nie lubią — i co tam ukrywać — boją się latać na szybowcach. Spadochroniarz jest przyzwyczajony przede wszystkim do skakania. Jeżeli leci samolotem, to tylko poto, aby wyskoczyć. Tym też się różni od lotnika, który nie przepada za skokiem i często nawet w chwilach skrajnego niebezpieczeństwa pozostaje w samolocie możliwie jak najdłużej, licząc na szczęśliwe lądowanie. Oczywiście skrzywdzilibyśmy lotników, nie uwzględniając takich momentów, jak solidarność załogi lub ambicja uratowania samolotu.

Natomiast szybowiec według nich wszystkich — to "latająca trumna". Lekkie, cienkie pudło, bezbronne, zdane na łaskę wiatrów i prądów pionowych powietrza, nie może wzbudzać zaufania u ludzi przyzwyczajonych do siły motorów i czynnego stosunku do niebezpieczeństwa. Żołnierz przewożony szybowcem, który na holu trzęsie jak drabiniasty wóz na "kocich łbach", zdany jest na łaskę i niełaskę okoliczności, a co najwyżej zalet pilota szybowcowego, który też wobec wielu przeciwności jest bezsilny. Co więcej — często w szybowcach znajduje się ciężki sprzęt: działa, samochody, przyczepki. Jeżeli teraz wyobrazimy sobie żołnierza szybowcowego podczas lotu na zadanie bojowe, siedzącego w cienkim pudle, które zdawałoby się, można palcem przedziurawić, pomiędzy żelastwem dział i samochodów, narażonego na wszystkie możliwe ataki z powietrza i z ziemi, bez możności opuszczenia tego pudła przed wylądowaniem i wogóle reagowania na ataki, a jeśli dodamy jeszcze do tego perspektywę zamienienia się w miazgę w razie *"crush landing"* /zderzenia z ziemią przy lądowaniu/ — całe bohaterstwo tego żołnierza wystąpi nam w pełnym świetle i schylimy czoło przed tymi, którzy się na to zdecydowali.

W polskim rzucie szybowcowym, na który oczekiwali pod Arnhem nasi oficerowie łącznikowi, znajdowało się wielu spadochroniarzy, lecz było też wielu tych, co to z różnych względów nie mogli odbyć przeszkolenia spadochronowego, nie mając przywilejów skoczka, jak n.p. wyższego uposażenia lub łatwiejszego awansu. Składam hołd tym najcichszym bohaterom spod Arnhem.

Nie wolno też w tym miejscu zapomnieć o brytyjskich pilotach szybowcowych, którzy jak wszyscy piloci tych latawców jednorazowego użytku, dołączyli po wylądowaniu do obsad swoich szybowców, a więc i polskich, walcząc w naszych szeregach do ostatniej kropli krwi. To są wspaniali ludzie.

Polski rzut szybowcowy leciał na szybowcach typu "Horsa", które odznaczają się m.in. tym, że nadleciawszy nad miejsce lądowania, pikują w dół, aby w ostatniej chwili wyrównać nad ziemią i usiąść lekko jak ptak. Dzięki temu "Horsa" może lądować na niewielkiej przestrzeni.

O godzinie czwartej pierwsze szybowce ukazały się nad lądowiskiem, przywitane nawałą niemieckiego ognia. Zaczerniło się niebo od rozrywających się pocisków przeciwlotniczych, karabiny maszynowe zaczęły krajać lądowisko potężnymi cięciami długich serii, zatrzaskały moździerze.

Podporucznik M. znajdował się w szybowcu wraz z dwoma strzelcami i *jeepem*. Jakież było ich przerażenie kiedy jeszcze w powietrzu seria z c.k.m. rozpruła bok ich szybowca. Na szczęście nikt nie został ranny i bez uderzenia poczuli pod sobą ziemię. Oficer wyskoczył z drzwi, kula gwizdnęła koło jego głowy. Jednego strzelca z *Brenem* pchnął na ubezpieczenie — reszta rzuciła się do rozładowania szybowca.

W czasie tego zajęcia migawki dantejskich scen wypełniły im oczy.

Oto tuż obok nich wali się "Horsa" potrzaskana w powietrzu, wysypują się z niej *"jeepy"* i połamani ludzie. Trochę dalej zderzają się dwa szybowce: trzask, odłamki, krzyki straszliwie pokaleczonych. Wzrok szuka rozpaczliwie znajomych twarzy. Podporucznik W. uśmiecha się blado z przejeżdżającego samochodu. Ma obie nogi zmiażdżone działem ppanc. Sierżant J. ciężko ranny — zabierają go koledzy. Tam ktoś leży bez ruchu i nie ma czasu, aby się nad nim nachylić. Otucha ogarnia na widok kolegów, którzy ocaleli. Zaradni kierowcy wyciągają swoje *jeepy* i ostro ruszają we wskazanym kierunku. Niektóre z nich ciągną działka ppanc. i przyczepki.

Od chwili startu z baz w Anglii sytuacja tak się zmieniła na gorsze, że na podanym poprzednio kierunku dojścia na miejsce zbiórki siedzieli już Niemcy. Trzeba było dopiero po wylądowaniu szybowców pokazywać odpowiednią drogę. Nie do wszystkich to dotarło. Podporucznik H. wpadł z *jeepem* na Niemców. Paru świadków, którym udało się w porę zawrócić i zwiać, widziało tylko, jak podporucznik wyciągnął rewolwer. Co potem się stało — nikt nie wie.

Jeszcze w czasie rozładowywania ocalałych szybowców wyruszyło na lądowisko natarcie piechoty niemieckiej. Jedna była tylko droga odwrotu, na południe, poprzez przepust w nasypie toru kolejowego, przez który mógł przejechać *jeep*. Powstał tam oczywiście niesłychany zator — łakomy cel dla ognia niemieckiego.

Tak jak w opowiadaniu o przeprawach Brygady Spadochronowej przez dolny Ren nie można pominąć saperów, podobnie dzieje naszych walk na jego północnym brzegu nabierają pełnego wyrazu w ogniu dział przeciwpancernych brygadowego dywizjonu. Ale to jest epopeja wymagająca osobnego opowiadania.

Tymczasem nasze pepance z rzutu szybowcowego zajęły wyznaczone im przez dowództwo brytyjskie stanowiska ogniowe, a reszta okopała się, mając za główne zajęcie polowanie na *sniperów*.

Zaczęły się dla wojsk powietrznych pod Arnhem męczeńskie dnie oporu przed wciąż wzrastającą siłą nieprzyjaciela. Rzecz jasna, że w podobnych momentach człowiek zaczyna wierzyć w cuda i szukać w nich wyjścia z tragicznej sytuacji. Takim cudem mieli być Polacy — Brygada Spadochronowa, na którą czekano jak na zbawienie, zapominając o jej możliwościach. Tam gdzie cała Dywizja Powietrzna, dysponująca atutem zaskoczenia — najważniejszym w działaniach tego rodzaju — nie mogła podołać przygniatającej przewadze nieprzyjaciela, tam właśnie Brygada Polaków miała dokonać cudu. Taki obraz zarysowywał się w umysłach śmiertelnie znużonych żołnierzy pod Arnhem, którzy nie mogli pogodzić się z myślą o przegranej.

Brygada miała wszak przylecieć w tym samym dniu, co nieszczęsne szybowce. Zła pogoda uniemożliwiła jednak jej start z lotnisk w Anglii.

Przez trzy dni wypatrywano lecące "Dakoty", przez trzy dni radiostacje pod Arnhem wołały w pustkę eteru.

21 września zaobserwowano zza rzeki lądowanie Polaków. Otucha rozjaśniła serca — lecz twarda rzeczywistość prowadziła nadal dzieło niszczenia. Dywizja Powietrzna utraciła już wszystkie środki przeprawy i nowoprzybyła Brygada musiała wyrębywać sobie krwawo przejście na drugą stronę rzeki.

W drugą noc walki o rzekę przeprawił się na północny brzeg pierwszy oddział pod dowództwem porucznika S. Oddział ten w czasie przejścia przez rzekę poniósł straty, na brzegu starł się z Niemnia przedarł się do stanowisk dywizji. Wieść o tym rozeszła się lotem ptaka po całym terenie obrony, dodając otuchy i wzbudzając nieusprawiedliwiony optymizm. Oddział ten obsadził ważny odcinek, wytrwał tam do końca, osłaniał ewakuację i — zaginął. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

W następną noc, również makabryczną i krwawą, na północny brzeg dotarł niecały polski batalion, część Kwatery Głównej, łączności i reszta pepanców.

Oddział ten zluzował pod huraganowym ogniem resztki brytyjskiej brygady na najbardziej eksponowanym wschodnim odcinku. Polscy spadochroniarze obsadzili siedem domów o tak lichych ścianach, że przebijały je kule karabinowe. Od stanowisk niemieckich dzieliła tylko szerokość ulicy. Potem Niemcy już byli ze wszystkich stron. Przez dwa dni oddział był zupełnie odcięty od swoich. W pierwszym już dniu walk giną: dowódca kapitan G. i porucznik K. Dowództwo obejmuje podporucznik B. Oddział walczy do końca, a na chwilę przed wycofaniem do zarządzonej ogólnej ewakuacji odpiera silne uderzenie niemieckie. Z oddziału tego powróciła zaledwie połowa.

Najwięcej ofiar pochłonęło lądowanie szybowców i rzeka. Trudno będzie odcyfrować los wielu tych, którzy nie powrócili. Polacy nie spełnili nadziei resztek po bohatersku ginącej dywizji — cud się nie spełnił. Ale polscy spadochroniarze uczynili wszystko, co było w ludzkich możliwościach, aby to bohaterstwo stało się wspólnym. Doprowadziło ich do tego wspólne ukochanie tych samych ideałów i silne poczucie braterstwa skrzydlatej broni.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

---

* Por. poprzednie artykuły w Nr. 41 i 42 "Polski Walczącej" z b.r.

To the Editor, "Fighting Poland",
Will you please accept this contribution /£1/ towards the fund for aid to Warsaw.

Norah Clement

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam sumę £2.7.6 /dwa funty, siedem szylingów i sześć pensów/ uzyskaną po wymianie pieniędzy francuskich i holenderskich, ofiarowanych przez rannego kaprala A.M.Mik. przebywającego w szpitalu "Head Injury Hospital" w Oxfordzie — na pomoc dla dzieci Warszawy.
Z poważaniem

Zofia Romerowa

* * *

Do Redakcji Polski Walczącej",
Przesyłamy £3 na fundusz Pomocy Warszawie.

I. E. Wieczorkowie

* * *

Sumę szylingów 12/- składam na fundusz "Pomocy Warszawie". Są to pieniądze ppor. Ludwika R., zwrócone mi za niewysłane paczki.

W.L.

Na pomoc Warszawie: £881

Szanowny Panie Redaktorze,
Przesyłam Panu czek na sumę £3 /trzy funty/ z prośbą o przekazanie tej sumy na pomoc dla ludności Warszawy.
Pozostaję z szacunkiem

J. Korab-Brzozowski

* * *

P.T. "Polska Walcząca" Londyn,
W załączeniu przesyłam £8 /osiem funtów/ i proszę uprzejmie o przekazanie sumy tej na "Fundusz Pomocy Warszawie".
Suma powyższa zebrana została wśród współpracowników "Bazy Polowej Dziennika Żołnierza".

D-ca Bazy Polowej Dziennika Żołnierza /W. Ma. ppor./

* * *

Przypuszczam, że pomoc dla Warszawy wyjdzie i dlatego załączam £2 na pomoc dla Warszawy. Podaję do wiadomości szanownej Administracji, że w zeszłym miesiącu wpłaciłem do administracji "Dz. Polskiego i Dz. Żołnierza" £3 na pomoc Warszawie.

Winc. Święcki

Przesyłam £2 /dwa funty/ na "Fundusz Pomocy dla Pruszkowa" złożone przez Czesak Emila z ... B.S.K. II Korp., pacjenta tut. Szpitala.

Oficer Opieki Szp. Woj. Nr. 2. /P.St. ppor./

* * *

Ppor. M. Kazimierz zamieszkały 6, Canterbury Road, Oxford, opracował samouczek angielsko-polski do użytku żołnierzy polskich.
Zaofiarowane mu i nieprzyjęte przez niego honorarium autorskie za tę prace w wysokości £5 przeznaczył on na rzecz "Funduszu Pomocy dla Wdów i Sierot po Poległych Żołnierzach Armii Krajowej w Obronie Warszawy w r. 1944".
Zgodnie z wyrażonym przez autora życzeniem, przesyłam w załączeniu czek Nr. 3545 "Lloyds Bank Limited" opiewający na kwotę £5 na cel wyżej wymieniony.

Szef Wydziału Prac Kulturalno - Oświatowych Mjr. W.

Redakcja "Polski Walczącej",
W dniu dzisiejszym przesłałem pod adresem Redakcji Postal Order'em kwotę £3 /trzy/ na pomoc dla cierpiącej Warszawy, złożoną przez nieznaną Panią Angielkę, która nie chciała ujawnić swego nazwiska.

D-ca Oddziału Administr. Górski

* * *

P.T. Redakcja
"Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłamy czeki:
1/ na sumę £11.8.0 /jedenaście funtów i osiem szylingów/ zebranych w Klubie Białego Orła z okazji urządzenia Akademii poświęconej Warszawie w dn. 15 b.m., z prośbą o przekazanie tej kwoty na Fundusz "Pomoc dla Warszawy"; oraz
2/ czek na sumę £1.10.0 /jeden funt i dziesięć szylingów/ wpłaconą na ten sam cel przez PP. Mjr. L. Ottona oraz Dr. Faleńskiego.
Z poważaniem

/—/ Dr. Doellinger p.o. Dyrektor Klubu

W załączeniu postal order na £1 z prośbą o przekazanie go na fundusz Pomocy Warszawie.

St. drag.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £2 zamiast upominku w dniu imienin męża mego — z uprzejmą prośbą o przekazanie na fundusz pomocy dla cierpiących w Warszawie.
Z poważaniem

Janina Muszyńska

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £45.17.6 /słownie: czterdzieści pięć funtów, siedemnaście szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £881.19.6 /słownie: osiemset osiemdziesiąt jeden funtów, dziewiętnaście szylingów i sześć pensów/.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Do "Redakcji "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłamy Postal Order na 3/6 /trzy szylingi i sześć pensów/, który otrzymaliśmy od prof. J. W. McLeod z Leeds i prosimy o przekazanie do Polish Children Rescue Fund.
Z poważaniem

Polish Fortnightly Review

* * *

N.N. dla dzieci polskich sh.10.

POLISH RELIEF FUND

Redakcja "Polski Walczącej",
Pani Norah Carruthers z Blanefield przesłała mi załączony czek na sh.10/6 z przeznaczeniem na Polish Relief Fund jako "a small token of my sympathy for Poland and gratitude that our own country has been spared from invasion and the horrors which that brings with such a cruel and ruthless enemy".

Aleksander B.

Zbiórka książek

Bezimiennie 9 broszurek.

* * *

Panie Redaktorze,
Pozwolę sobie przesłać na ręce Pana zebrane wśród kolegów książki i broszury. Przesyłam dla rodaków za granicą według uznania Pana Redaktora.

Edward K.

Załączone: 72 książki, podręczniki i broszury.

* * *

Przesyłam w załączeniu kilka książek, mając nadzieję, że będą one z pożytkiem zużytkowane.
Z poważaniem

F. Kuźmiński

Załączone: F. Rogala: "Dwa skarby", Lord Strabolgi: "Narvik and After", St. Wyspiański: "Wesele". H. Górska: "Chłopcy z ulic miasta".

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
Dla Polaków na Bliskim Wschodzie posyłam: "The Nineteenth Century and After". "To-day and To-morrow You and the Colonies", "Pictures of Polish Life", "To-day and To-morrow You and the Empire", "Ognisko harcerskie", Z. Lityński: "Warsaw a Warning", "St. Andrew Bobola", C. Smogorzewski: "About the Curzon Line", E. Turski: "Emigracja zbrojną pomocą w Polsce".
W drugiej paczce: "La France Libre", M. Hemar: "Marchewka", B. Neyman: "The Face of Poland", Dr. J. Weyers: "Poland and Russia", "St. Andrew Bobola", Z. Lityński: "Warsaw a Warning", "Hobbies Handbook".

Roman Zawadzki

* * *

Bezimiennie: "Ogniwo przyjaźni" /2 egz./.

* * *

Proszę o przesłanie dla Polaków na Bliskim Wschodzie to co nam pod ręką, a to: 5 numerów: "Skauta", "W podróży", "After Victory, What?", G. M. Godden: "St. Andrew Bobola", "The Eastern Boundaries of Poland", "The Growth of Polish Democracy", C. Smogorzewski: "Lwów and Wilno", "The Reason Why", N. Vane: "The Menace of Li-Sin".

Roman Zawadzki

NA "PACZKI OD SERCA"

Przesyłam na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech sh.8 /postal order/ nieprzyjętych przez księdza kapelana za odprawienie mszy.
Z poważaniem

pchor. J.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14 WIELKOPOLSKIEJ PIECHOTY

P.T. Redakcja Tygodnika
"Polska Walcząca",
Proszę uprzejmie o przyjęcie ode mnie, Wielkopolanki, drobnego datku sh.5 w P.O. na Fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach 14. Wlkp. Dyw. Piech.
Z poważaniem

"Poznanianka"

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

PRZESTROGI DLA MŁODYCH LOTNIKÓW



Ląduj zawsze na paluszkach,
Jakby tycia, cudna muszka ...

ŹLE NAS OCENIAJĄ ...

Oficer angielski, po przyjeździe, w kasynie:
—Nie przypuszczałem, że Polacy są takimi smakoszami. Jak sobie dogadzają, jak przyprawiają potrawy! ...
—? ? ?
—Każdy do obiadu wyciąga jakąś flaszeczkę i zakrapia zupę ...
—Ależ to są lekarstwa! ...

OSTATNI RATUNEK

Do chirurga zgłasza się kapral z pierwszej wojny światowej:
—Czego chcecie?
—Proszę o zmianę płci! ...
—Co takiego?! na co???
—Bo u "Pestek" są szybsze awanse ...

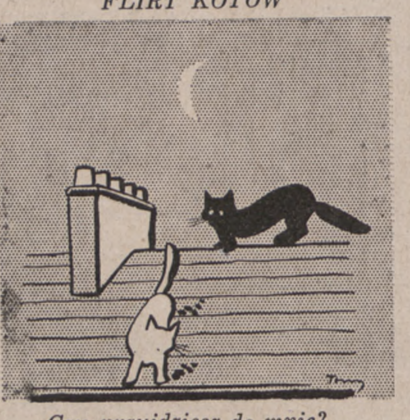
OFIARNE SERCE

—Gdybym mogła, zdjęłabym ostatnią koszulę dla naszych rannych.
—Niech pani tego nie robi. Raczej proszę zdjąć rękawiczki i do pracy w szpitalach ...

ZROZUMIAŁA DOWCIP

W "Rubensie" ktoś opowiada dowcip:
—Do pewnego sklepu przychodzi młody człowiek i zapytuje, czy może zadzwonić. Właścicielka zgadza się, na co młody człowiek wyjmuje z kieszeni dzwonek i dzwoni ...
W południe wpada do domu żona jednego z oficerów:
—Mój złoty, muszę ci opowiedzieć znakomity dowcip: Otóż do pewnego sklepu przychodzi młody człowiek i zapytuje czy może z a t e l e f o n o w a ć. Właścicielka zgadza się — młody człowiek wyjmuje z kieszeni dzwonek i dzwoni . .
—No dobrze, ale gdzie jest kawał?
—Gdzie kawał??? Ty naprawdę masz ograniczony mózg; teraz nie dziwię się, że cię nie awansują! ...

FLIRT KOTÓW



—Czy przyjdziesz do mnie?
—Nie! Nie wiesz, że blackout ma być zniesiony zupełnie? ...

NASI PROPAGANDYŚCI ...

Pewien lord szkocki, który opanował zupełnie dobrze polski język, rozmawia z polskim kapralem w Domu Żołnierza w Edynburgu:
—Proszę panu, ja jus slyszalem od moich chlopców dużo czekawych rzeczy o Polsce i we wszystko ja uwierzyl, tylko mi się nie chce wierzyć, ażeby w Polsce padał deszcz wyłącznie w nocy ...

BĘDZIE KŁOPOT ...

W pierwszym dniu po zakończeniu wojny zgłasza się w biurze wojskowym świeżo mianowany podporucznik:
—Proszę o zwolnienie mnie z wojska ...
—Na jakiej zasadzie?
—Ponieważ jestem podporucznikiem tylko czasu wojny ...

ŹLE OBLICZYŁ ...

—Wie Pan, że wszyscy rodacy, którzy byli w czasie blitzu "bomb latających" w Londynie, mają otrzymać odznaczenia?
—Jakie? Jakie???
—Ci, którzy przetrwali 150 nocy pod "szybotłukami" mają otrzymać "Krzyże Walecznych". Ci, którzy mają 200 nocy otrzymają "Virtuti Militari" ...
—Panie, czy to fakt? Mnie brakują tylko trzy noce do "Virtuti"! A to pech! Właśnie licho mnie posłało na inspekcję do Szkocji ...

ROZMOWA PAŃ

—Wie pani, gdybym tylko mogła, już bym szła na kolanach do Polski ...
—Ale à propos — gdzie pani kupiła te pończochy? ...

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Redaktor dziennika powiedział pewnego ranka do swej gospodyni: — "Będziemy mieli dobry urodzaj na ziemniaki w tym roku!" — "Ale skąd", odrzekła, "urodzaj będzie marny!"
Po przyjściu do redakcji, redaktor kazał umieścić krótką wzmiankę w gazecie: *Spodziewamy się wspaniałego urodzaju na ziemniaki!*
Wieczorem jego gospodyni usprawiedliwiała się: — "Przecież miał Pan rację. Gazeta tak samo pisała".

/d/

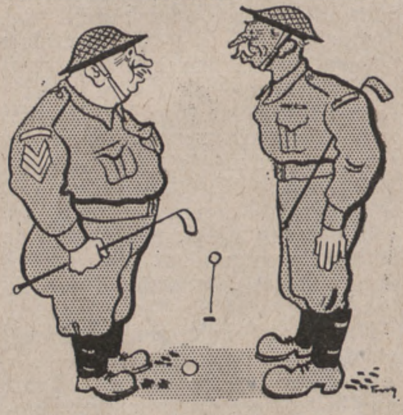
Hitlerowską załogę okrętu podwodnego wyłowiono na okręt brytyjski. Kapitan wydał rozkaz, że należy jej członków traktować jak gentlemenów. Na drugi dzień jeden z niemieckich oficerów z podbitym okiem i wybitym zębem poskarżył się kapitanowi.
—"Kto cię tak potraktował?" — zapytał kapitan.
—"Porucznik X."
Porucznik X. został wezwany do kapitana.
—"Jest Pan zakałą marynarki!" — powiedział kapitan — "Co Pan ma do powiedzenia na swoją obronę?"
—"Gdy przyszedłem dziś rano na pokład, ten Niemiec powiedział do mnie: Niech diabli wezmą Twego króla! Opanowałem się i milczałem. Na to on podszedł do mnie i krzyknął: — Niech diabli wezmą królową! Z trudem i tym razem się opanowałem. Ale gdy ten łobuz uśmiechnął się pogardliwie i splunął do *naszego morza*, nie wytrzymałem i strzeliłem go w zęby".

/d/

Sierżant do nowoprzybyłego rekruta: — "Teraz weźmiemy Ci odcisk palców. Umyj sobie ręce".
Rekrut: — "Jedną czy obie?"
Sierżant: — "Jedną! Ciekaw jestem, jak to zrobisz!"

/d/

PO ROZWIĄZANIU HOME GUARD



—Tylko ty mi nie wypaplaj przed żoną, że chodzimy na golfa — mów zawsze, że mamy ćwiczenia ...

Tekst i rysunki: TONY

HELENA HRYCZYSZYN, córka Waśki i Anny, poszukuje braci: JANA HRYCZYSZYNA, ur. w r. 1917 i MIKOŁAJA HRYCZYSZYNA, ur. w 1913 r. — we wsi Trzcianiec, poczta Wojtkowa, pow. Dobromil, woj. Lwowskie.
Obaj poszukiwani wyjechali z Polski do Francji, w lipcu 1939 roku.
Ewent. wiadomości o poszukiwanych prosimy kierować do redakcji "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

APEL DO RANNYCH B. ŻOŁNIERZY BAONU "KRATKOWANYCH LWIĄTEK"

Ranni żołnierze z frontu włoskiego i zachodniego, a więc z polskiej kompanii Commando, z II. Korpusu, z Dywizji Pancernej i z Brygady Spadochronowej, którzy kiedykolwiek należeli do Batalionu "Kratkowanych Lwiątek" — proszeni są o możliwie natychmiastowe podanie swych adresów do kol. Witalisa Lewandowskiego /P.B.W. Londyn, 145, Harley Street, London, W.1/, celem nawiązania kontaktu i roztoczenia koleżeńskiej opieki.

Grono Kolegów — b. żołnierzy Baonu "Kratkowanych Lwiątek"

KWATERY W LONDYNIE

Podoficerowie i szeregowcy Polskich Sił Zbrojnych, przybywający do Londynu na urlop, lub w sprawach służbowych, a chcący korzystać z kwater w polskich, lub brytyjskich w Domach /Klubach/ wojskowych, mogą otrzymać, bez względu na parę przyjazdu, zlecenie na otrzymanie kwatery /od sh.2 do sh.2 d.6/ w Polskim Biurze Wojskowym 145, Harley Street, London, W.1. Dojazd kolejką podziemną do stacji Regent's Park, lub Baker Street Station.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.